

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

### PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicą: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi  
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

**TREŚĆ:** Dwaj obywatele. — Apelacya do ludu p. Nauczyciela. — Spisek p. Niedomyślnego. — Krakowski mandat p. P. — Plan upaństwowienia dróg żelaznych w Niemczech. I. p. A. Pawłowskiego. — Zupa kartoflana, opowiadanie A. Daudeta. — Psychologia w ekonomii politycznej. II. (Teorya wartości.). — Kilka uwag o somnambulizmie. I. — Wolna wola i mechaniczne jej skutki II. p. I. I. — Malarstwo polskie p. M. K. — Liberum veto. — W perspektywie p. Asana. — Tydzień Polityczny. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

### DWAJ OBYWATELE.

Najnowsza historia Prus przedstawia jeden z niezwykłych, chociaż dziejom znanych obrazów, w których osoba monarchy usunięta na plan odległy, prawie całkiem niknie po za potężną postacią występującego naprzód, niezwykłą władzą opatrzonego ministra. Od lat piętnastu, to jest od chwili, w której geniusz Bismarka błysnął po raz pierwszy niezwykłą jasnością, widzimy spełniający się pod jego imieniem szereg wielkich aktów politycznych, wobec których cesarz Wilhelm pełni tylko bierną rolę niemego patrona. Bismark zdobył Holsztyn i Szlezwig, Bismark rozbił Austryę, Bismark pokonał Francję, Bismark zjednoczył Niemcy, Bismark wyniósł je do godności cesarstwa, Bismark zmienia ministrów i ambasadorów, Bismark zawiera przymierza zewnętrzne i przekształca państwo wewnętrznie — tak głosi opinia publiczna, której wpływowi uległy nawet przywykłe do przestrzegania etykiety w wyrażeniach organy urzędowe. W całej prasie świata jeden może tylko *Staatsanzeiger* trzyma się dawnej formy i stale zapisuje na rachunek swego cesarza wszystko to, co z jego sankcyą ukazywać się winno. Gdy sejm zagłasuje jakieś prawo, tysiące gazet zawiadamia, że nową ustawę zatwierdził Bismark, a jeden *Staatsanzeiger* — że ją zatwierdził cesarz Wilhelm. Zdawałoby się napozór, że sam ten dziennik tylko pozostał wiernym dynastyi Hohenzollernów, że panowanie ich głowy skurczyło się do arkusza urzędowego papieru, że na tronie niemieckim siedzi człowiek albo niezaradny, albo nie-szczęśliwy, obezwładniony przez swego ministra. Tymczasem tak nie jest. Cesarzo-

wi Wilhelmowi nie brak ani pewnej umiejętności rządzenia, ani energii, zwłaszcza tej energii, jakiej potrzeba do zachowywania i wykonywania praw korony. Gdyby chciał, zdołałby każdej chwili z największą łatwością usunąć swego kanclerza i ująć w swe ręce ster państwa a kierował by nim nie gorzej, od innych władców europejskich. Owszem, nietrudno byłoby mu nawet okryć się chwałą swych pomocników wojskowych i cywilnych, których Niemcy posiadają dziś w obfitej liczbie i w dobrym gatunku. Obecna chwila, w której kraj rezultatem wyborów oświadczył się jak nigdy przeciw ks. Bismarkowi, dostarcza monarsze wyborną sposobność do pozbycia się zbyt wyrosłego pełnomocnika, do odzyskania władzy i uroku na jego korzyść straconych. Niepodobna przytem twierdzić, ażeby cesarz Wilhelm zrzucił z siebie dobrowolnie ciężar rządów przez chęć wygodnego, wolnego od trosk życia. Nie przedstawia on bowiem tego często w dziejach powtarzającego się typu władców słomianych lub w roszkasy zatopionych, którzy sadzają na tronie zastępcę a sami swobodnie i gnuśnie piją pełnymi kielichami mniej lub więcej czyste uciechy. Przeciwnie, cesarz niemiecki zajmuje się ciągle sprawami kraju, nie puszcza ich mimo uszu, ze wszystkim jest doskonale obznajmiony, nieraz nawet ponosi dotkliwe ofiary ze swoich osobistych uczuć i przekonań. Więc dla czego zadawałnia się bierną rolą chrzciela działań przez kogo innego zrodzonych a w obrębie jego władzy leżących? czemu zrzeka się praw i zaszczytów korony? czemu obojętnie patrzy na wszechmoc swego ministra i na przyznawane mu tytuły najwyższych przywilejów? czemu dla niego poświęca siebie? Odpowiedź na te wszystkie pytania krótka: cesarz Wilhelm jest prawym obywatelem swego kraju. Z tym zaszczytem, doprawdy nie najmniejszym, powinien on przejść do histo-

ryi. Potrzeba niezwykłego charakteru, ażeby tak dobrowolnie dla dobra narodu zrzec się praw swego wysokiego stanowiska, ażeby pod purpurą zachować tyle poczucia obywatelskiego, ażeby, właściwie mówiąc, ustąpić faktycznie tronu geniuszowi, i nie będąc niedołężnym, pozostać biernym monarchą. Nie zmniejsza wcale jego zasługi ta okoliczność, że ów obdarowany minister niezawsze był dobroczyńcą narodu, niezawsze dorósł do swego zadania, niezawsze szedł z prądem cywilizacyi i kierował się sprawiedliwością — te błędy i grzechy obrzucają cieniem tylko jego imię, nie zaś tego, który mu je blaskiem otoczył pozwolił. Cesarz Wilhelm spełnił niezwykajnie swój obowiązek, ustępując władzę zdolniejszemu od siebie; ks. Bismark zda z niej przed teraźniejszością i przyszłością rachunek. A cokolwiek mu one przyznają, cesarz niemiecki pozostanie zawsze władcą — obywatelem.

Nie licząc królowej Wiktoryi, która, jako kobieta, bardziej do podobnej cnoty stworzona, dziwnym trafem Europa przedstawia nam nader pokrewny poprzedniemu objaw godnego obywatela we Francyi. Od lat dziesięciu wyrasta w niej szybko człowiek, który najczynniej działa nawet wtedy, gdy nie jest powołanym, i który na podobieństwo ks. Bismarka rozszerza zakres swych praw kosztem naczelnika państwa. Jeszcze Gambetta był deputowanym lub prezesem Izby, a więc od pola władzy wykonawczej odsuniętym, kiedy prasa europejska podpisywała jego nazwiskiem wiele ważnych czynności rządu francuskiego. On — jak głoszą — zawierał przymierza zewnętrzne, on znosił zakony, on kierował polityką gabinetu. A cóż Grévy? Grévy piastował godność prezydenta republiki francuskiej i... pozwalał działać zaćmiewającemu go geniuszowi. Podczas rozpraw w Izbie nad projektem głosowania z listy dzienniki dużo paplały o



zawziętej nieprzyjaźni Grévego dla Gambetty. Ażeby cósłkolwiek ustąpić tej pogłosce, przypuścimy, że pomiędzy dwoma kierownikowi Francji istnieją pewne sprzeczności. Czyż one jednak pobudziły Grévego do walki ze zdolniejszym współzawodnikiem i pominięcia go w chwili, gdy naród przez wybory jemu największą ufność okazał? Bynajmniej. Grévy natychmiast powołał Gambettę do utworzenia gabinetu, jak tylko Izba wskazała na tę godność swego byłego prezesa. Ażeby oddać sprawiedliwość obecnemu prezydentowi Rzeczypospolitej, przypomnijmy sobie w tej roli Mac-Mahona, przypomnijmy sobie tego tępego a chciwego władzy niedołęę, który chciwie strzegł wszystkich swych praw, chociaż z żadnego uczciwie i umiejętnie korzystać nie umiał. On raczej naraziłby kraj na wojnę domową, niż powierzył ster państwa człowiekowi, pochłaniającemu talentem wiarę, nadzieję i miłość ogółu. Inaczej postępuje Grévy. Maż to bardzo światły, niezniewieściały, do działania pohopny; czuje wszakże, że obok niego wyrasta inny, zdolniejszy, któremu dziś faktycznie a kiedyś prawnie trzeba naczelnego miejsca ustąpić.

Jak cesarz niemiecki, podobnie prezydent Rzeczypospolitej nie zgadza się z wieloma działaniami swego pełnomocnika, ale jak tamten również nie wysadzi go ze stanowiska, którego nikt godniej zająć nie może. Bo Grévy jest także uczciwym obywatelem kraju, on także umie poświęcać swe uczucia i przekonania temu, kto lepiej od niego przy ołtarzu ojczyzny służy.

Cheć godnie ocenić takie ofiary, uwzględnijmy z jednej strony ich wartość, a z drugiej — trudność. Pamiętajmy, że mamy przed sobą ludzi, którzy wogóle nie są wcale skłonni do poniżenia siebie a wywyższania drugich, ani też do dobrowolnego zrzekania się władzy. Jeżeli więc wyłamiamy się z natury ludzkiej i oprą najsilniejszym jej pokusom, zasługują doprawdy na miano bohaterów.

Takich zaś bohaterów dziś bardzo ludzko-

ści potrzeba, do takich ona nieraz bardzo wzycha, na brak takich cierpi.

## APELACYA DO LUDU.

Od czasu do czasu prasa nasza staje się polem namiętnych walk o czystość języka, walk, które równie nagle gasną, jak się rozpały. Nie wzbudza ich bowiem nigdy żaden fakt poważny, ale pierwszy lepszy koncept jednego z nieskończonej liczby samorodnych gramatyków, pierwsza lepsza skarga lub pomysł spolszczenia jakiegoś utartego, powszechnie zrozumiałego wyrazu cudzoziemskiego. Jak gdyby dla dopełnienia żartobliwości tych figlików, pisma, które stają się przewodami gorzkich żalów nad „skażeniem naszej mowy,” zaraz obok pozwu, zwróconego ku innym, popełniają same względem niej najzuchwalsze winy. Nie o tę wszakże dziwaczną sprzeczność nam chodzi, ale o trybunał, który rozstrzyga tego rodzaju spory w ostatecznej instancji. Ile razy strony nie mogą się pogodzić w uznaniu dla tej lub owej postaci językowej, natychmiast odwołują się do ludu i szukają w jego mowie bezpośredniego lub pośredniego wyroku. Zachodzi tedy pytanie: czy ów sąd jest wybrany właściwie, czy lud może stanowić prawowitości lub nieprawowitości naszych sposobów wyrażania się? Odrazu z procesu tego uderza nas dziwolak. Ów lud, którego warstwy oświecone nie pytają o radę w żadnej sprawie a nawet w każdej uważają go za małoletni, w jednym przedmiocie zyskuje taką władzę, że przed jej majestatem milknąć muszą najuczciwsi językoznawcy. Nie jestże to dziwnem? Gdy mamy jakąś wątpliwość obyczajową, moralną, filozoficzną, religijną — nie pytamy naszych wieśniaków i wieśniaczek; tymczasem ci prosi i swej szczególnej wiedzy nieświadomi ludziska w każdym sporze lingwistycznym mają głos decydujący. Co to znaczy? Miałe-

by duch św., posiadający moc językoznawczą, zsyłać tym pocziwcom swoje natchnienia? Porzućmy ironię i nie potrącając dłużej jej strun, powiedzmy otwarcie, że cała ta apelacya do ludu jest sentymentalną śpiewką, która często bardzo wygodną osłania niewiedomość naszych gramatycznych procesowiczów. Nie ulega bowiem wątpliwości, że lud ma tyle prawa w lingwistyce, ile w filozofii, etyce ekonomii politycznej i t. p. Jak dla tych nauk posiada on w swym skarbcu pewien zasób prawd i pojęć, z którymi wiedza liczyć się winna, podobnie dostarcza on surowego materiału lub pouczających wskazówek lingwistyce. Żeby on wszakże miał być jakąkolwiek a tem mniej najwyższą instancją, ażeby rozdawał prawa obywatelskie postaciom językowym, ażeby to jedynie było polskiem, co się z mową ludu polskiego zgadza — na pojęcie i uznanie takiej zasady trzeba bardzo dużo stracić zdrowego rozsądku. Pozornie słusznym racją, że odsunięty od cywilizacyjnego Babelu lud najmniej ma sposobności poddania się wpływowi obcym — jest wogóle bezzasadną a jeszcze bardziej bezzasadną u nas. Bo jakkolwiek rzeczywiście wpływ ten w niższych warstwach narodu jest słabszy, słabszą również jest ich odporność. Wieśniak bardzo chętnie wzbogaca swą mowę wyrażeniami obcymi a wcale nie ma poczucia obowiązku zachowywania jej w czystości. Względ ten zyskuje szczególne znaczenie w plemieniu polskim, wszędzie z innemi narodowościami zetkniętem. Dość posłuchać cudacznej nieraz gwary włościan poznańskich, szlaskich, galicyjskich lub naszych — procent domieszek zewnętrznych jest olbrzymi. Gdyby komu z nas przyszła chętć sprawdzić ową drogą, czy np. forma *odejść* jest polską, dowiedziałby się z apelacyi do ludu, że polska brzmi: *posiół wont*. I tak dalej.

Nie ludźmy się więc i nie ustanawiajmy sobie sielankowych trybunałów, których wyroki, jak obertasy ludowe, mogą nas czasem ubawić a nawet pouczyć, ale wzorów nie dostarczą. W rozwoju wszystkich

## SPISEK.

Chociaż, zaszczytnie wybrany przez ciotkę Stefanową do odprowadzenia panny Lucyny, podjąłem się tego zadania „z najwyższą przyjemnością,” zapisałem jednak na rachunek dyabła zarówno ten zaszczyt, jak przyjemność.

Z Miodowej wędrować na Pragę, o godzinie 6 wieczorem, wśród chłodnego deszczu, pod rękę i w dodatku pieszo, gdyż panna Lucyna — jak się dowiedziałem w drodze — „tak najlepiej ze mną chodzić lubiła” — doprawdy wołałbym był przez ten czas wyuczyć się na pamięć całej szpalaty *Wieku*. Rozpaczliwy okrzyk kupca z ulicy Dzikiej, wołającego we wszystkich pismach: *strzeżcie się zaziębienia!* brzmiał mi w głowie straszną grozą, tembardziej, że nie posiadałem na sobie ani „barchanu zdrowia z dużym kutnerem (ceny dotąd niebywalej!),” ani „hygienicznego, prześlicznego kaftanika,” ani żadnej rzeczy, które ów dbający o zdrowie ludzkości dobroczyńca na takie wypadki dostatkowo przygotował. Podczas więc gdy moja towarzysza, niezawodnie ogrzana „flanelką drukowaną w przeslicznych kolorach,” u-

śmiechała się do mnie lub pytała: „dlaczego pan taki smutny?” — ja tłumiąc gniew, odpowiadałem: „bo daleko jestem od celu.”

— Czemu go pan nie przybliży? — zapytała lekko zmieszana dziewczyna.

— Właśnie to robię — odparłem, przyspieszając kroku.

Wreszcie stanęliśmy u celu, rozumie się nie u tego, do którego mnie zachęcała panna Lucyna, ale tego, do którego ja dążyłem — to jest przed bramą domu jej rodziców. Odmówiwszy nataczycemu zaproszeniu, pożegnałem ją i odszedłem.

Zziębnięty poczułem gwałtowną chęć znalezienia cukierni i ogrzania się szklanką herbaty. Ale na Pradze cukiernia — to sikawka w gminie. Idąc wszakże ku Wiśle, dostrzegłem jakiś sklepik z oświeconymi szybami, na którego szyldzie odczytałem przy latarni: *cukiernia*. Otwieram drzwi, wpadam i widzę...

Czytelniku, przygotuj się dla usłyszenia, co zobaczyłem. Przy małym stoliku siedziała grupa cicho, ale namiętnie, zgłowami do środka pochylonemi rozmawiających... literatów warszawskich. Spozstrzegłszy ich, stanąłem zdziwiony — oni, także widocznie zmieszani, nagle ucieli rozmowę. Co ich tu sprowadziło? — co mnie? — pytania te z dwu stron skrzyżowały się w naszych spojrzeniach.

— Uważacie? — szepnął nawet jeden ze znanych krytyków.

Niepodobna było zbyt długo przeciągać tego niemego badania; przystąpiłem więc do stropionego grona i witając je, rzekłem:

— Niedługo będę panom przeszkadzał, tylko wypiję szklankę herbaty, bo zmarzłem.

— Ależ pan nam wcale nie przeszkadzasz — odparł p. Ignacy, który naprzód objawił względem mnie podejrzenie — imy tylko się rozgrzewamy.

Zająłem miejsce, możliwie w małym pokoiku najdalsze. Pijąc herbatę, mimowolnie zacząłem rozmyślać, po co oni się tu zgromadzili? Na Pradze, wieczorem, do mizernej cukierni ściągnąć ich mogło tylko jakieś ważne, tajemne przedsięwzięcie. Domysł ten potwierdzały ich twarze, dziwnie na mój widok wyciągnięte, wreszcie namiętnie po uspokojeniu się szepty oraz pewne, dla zbłąkania mnie głośniejszy wybi-jane wyrazy: „zepsuty chodnik...” „Friedenthal...” „tramwaje...” „Prószyński” itp. Nie ulegało wątpliwości, że przedmiotem tajemnej narady była jakaś ważna sprawa polityczna lub społeczna. Ale jaka? Doremnie przesuwałem sobie w pamięci wszystkie donioślejsze wypadki ostatniej chwili, od bilu irlandzkiego i wyborów niemieckich aż do zniesienia *kepi* w umundowaniu szkolnem — nic nie naprowadzało



żywiółów cywilizacji narodu a więc i języka główny udział przypada klasom oświeconym; żadne zaś społeczeństwo tak cudacznie nie żyje, ażeby wszystko w niem tworzyli najmędrsi, tylko jedną, wcale nieposlednią tkanę snuli najgłupszy. Kochanowscy, Reje, Śniadeccy, Mickiewicz, Słowacy, Krasinscy więcej dali naszej mowie i bardziej ją oczyścili, niż całe pokolenia ludu. Poeci, przyrodnicy, lekarze, historycy, ekonomiści, prawnicy, matematycy a nawet dziennikarze stworzyli olbrzymią ilość doskonałych wyrazów i zwrotów, których lud nawet nie przeczuwa. Jeżeli więc do kogo zwracać się należy, to do nich, nadewszystko zaś do wzorowych pisarzy współczesnych, którzy bogacąc myśl narodu, bogacą zarazem jego język. Oni nam, bez pomocy ludu, powiedzą, że zamiast *antreprenier* należy mówić *przedsiębiorca*, *zam. stagnacja* — *zastój*, *zam. kryzys* — *przesilenie*, *zam. sukces* — *powodzenie*, *zam. aglomeracja* — *mięszanina*; oni nauczą nas, że zwłaszcza pisma, które przewodniczą w oczyszczaniu języka, nie powinny pomieszczać takich dziwotworów, jak jedno z warszawskich w n-rze sobotnim: „*Puryfikacja* ta ma być prowadzona z niemałą *energiją*, dopóki w Muz hesperyjskim ogrodzie nie zapanuje zapach *de la fine fleur* swojskich *kreacyj* w całej czystości chemicznej *solucyi*.” Etymologiczne i gramatyczne sielankowanie nie prowadzi do innego celu, prócz daremnych usiłowań powstrzymania rozwoju mowy sentymentalnymi więzami, które ona jak pajęczynę babiego lata ciągle targać będzie. Wszystkie: prrr! stoj! heć! kse! woźniców swojskiej bryczki i oraczów rodzinnej niwy nie nie pomogą, bo język w każdym swym ruchu pójdzie tą drogą, którą go poprowadzi wypadkowa uczuć, natchnień i myśli narodu, a przedewszystkiem najdzielniejszych i najświatlejszych jego pierwiastków.

*Nauczyciel.*

## KRAKOWSKI MANDAT.

Gdy Julian Klaczko odmówił przyjęcia zaszczytu posłowania do Rady Państwa z Krakowa, a może „zaskoczony znienacka” otrzymać go nie mógł, pięciu kandydatów stanęło przed publicznością wyborczą dla złożenia jej hołdów. Szczęściem, że wynaleziono alfabet i zastosowano go do ułożenia porządku, w jakim mówcy występować mieli, bo inaczej nie wiedziałbym, któremu dać w tem sprawozdaniu pierwszeństwo.

A więc naprzód *K* — dr. Kański, adwokat. Jak na prawdziwego krakowianina przystało, dosyć daleko w tył cofnięty konserwatysta. Kiedyś — jak sam zapewnia — „nie bał się nikogo i niczego” (brawo), ale dziś boi się... materialnej biedy narodu i dlatego radzi „politykę wielką” zamienić na pożyteczniejszą małą, to jest praktyczną. Wszystkie inne sprawy uważa za fatalachy, którymi zajmować się nie warto.

Po *K* następuje *M* — czyli hr. St. Mieroszewski. Najdalszą granicą, do której robi ustępstwa społeczne, jest konstytucja 3 maja. Dalej ani kroku. Wyznaje katolicyzm, bo go ojcowie wyznawali, godzi się na tolerancję religijną, bo ją królowie polscy zaprzysięgali. Gdyby przodkowie mieli inną wiarę a królowie składali inną przysięgę, hr. Mieroszewski nie wie, co by zrobił. Ale na szczęście tak się stało. Kandydat widzi dwie drogi wyjścia dla polaków: jedna prowadzi do przymierza z Austrią a druga do zgody z... kodeksem cywilnym i karnym. Innych sojuszków nie pojmuje. Austria według niego „znaczy monarchię wschodnią,” powinna zaś przestać być panslawiczną (!) a stać się polislawiczną. Najlepszym ustępem dość długiego wywodu było zapewnienie mówcy, że gdy się wyborcom z działalności swej w Wiedniu nie podoba, niech mu dadzą delikatny znak, a on go zrozumie.

Drugie *M* — p. Michałowski rad był wyborcom wszystkim, czem chata jego bogata. Że nie bogata — trudno. Dobrze chęci miał, bo posłem do Rady Państwa szczerze zostać pragnął, a że z jego usług skorzystać nie chciano, nie on temu winien. Nie posiada złota — prawda, ale przyniósł kadzidło i mirę.

W spisało się nietego. Naprzód p. Wilkosz gdzieś się schował, a wyborcy go nie szukali; dr. Warschauerowi zaś, posiadającemu bardzo wiele warunków do poselstwa, zdarzył się wypadek, na którym mówca głównie powinał nogę. Jest on izraelitą. Otóż gdy sobie swobodnie szybował w wyższych kręgach patryotyzmu i pojednania, nagle jeden z wyborców godzi go w pierś krzykiem: „a kahały?” Kahałów już niema — odpowiada kandydat. Jako nie ma, kiedy są — wołają wyborcy. Nie ma — są — nie ma — są! grzmi sprzeczka, skutkiem której dr. Warschauer zmuszony przyznać, że kahały są a nadewszystko wytłomaczyć się, jakie stanowisko zajmie wobec projektu Merunowicza, żądającego zniesienia przywilejów żydowskich i oddania instytucyj starozakonnych pod kontrolę państwa. Odpowiedź ta wypadła nader nieszczęśliwie. Kandydat chciał obu stronom dogodzić, nie dogodził żadnej, nadewszystko zaś tej, od której jego mandat zależał.

Jak słabi kandydaci stanęli do turnieju, dowodem rezultat wyboru, który większość głosów przesypał na szalę hr. Mieroszewskiego. Chociaż jednak kandydat ten na bezrybiu stał się rybą, nie przestaje być rakiem, jak świadczy jego polityczne wyznawanie wiary, cofające naród co najmniej o wiek cały. Wobec tego może usprawiedliwioną jest nawet w obozie liberalnym odzywająca się skarga, że mandatu nie powierzono J. Klaczce. I to rak w ruchach, ale nie w głowie. Bądź co bądź większą by kraj odniósł korzyść z wstecznego, ale zdolnego pisarza, niż z równie wstecznego radey dla hercogowinów i bośniaków, z wątpliwej wartości zucha, który jeszcze

mnie na trop zagadki. Błąkając się w przypuszczeniach, poczułem trwogę na myśl, że może wielkie przedsięwzięcie moich kolegów, prawdopodobnie dotyczące ogółu, nie uda się i sprowadzi nieszczęście. Przejęty obawą, chciałem zwrócić się do nich i zawołać: panowie, nie kryjcie przedemną swoich zamiarów, bo przecie i ja jestem obywatelem kraju. Ale oni, jak gdyby usłyszeli myśl moją, podnieśli się i poże gnawszy mnie spiesznie, wybiegli z cukierni. I ja, drżąc z wruszenia, wkrótce wyszedłem. Na ulicy było pusto. Tylko zdala doleciały mnie oderwane wyrazy głośniejszego wykrzyku: „On da pierwszy strzał... potem szturm ogólny!... Zdobędziemy!”

Nie dziw się czytelniku, że powróciłem do domu niespokojny i że przez połowę nocy zasnąć nie mogłem. Wstałem zmęczony, a po głowie, jak błyski przed burzą, biegały mi ciągle groźne domysły. Już miałem wyjść z domu i wybadać u którego ze znajomych tajemnicę, gdy drzwi się otworzyły a w nich stanął p. Ignacy, spełniający we wczorajszym gronie, jak mi się zda wało, rolę hetmana. Bywał u mnie bardzo rzadko, odgadłem więc, że go sprowadza coś, co było przedmiotem tajemnej narady. Widocznie zakłopotany celem swych odwiedzin, usiadł i zaczął rozmawiać o kwestiach obojętnych: o teatrze, o dymisji p.

Święckiej, o nieużytkach scenicznych itp. Chcąc mu ułatwić zadanie, nie zdradzałem lekcważenia dla tego wstępu, a nawet potakiwałem jego zarzutom względem dyrekcji teatralnej. Nagle mój gość zamilkł, popatrzył mi w oczy i jak gdyby wyczytał w nich możliwość zwierzenia tajemnicy, otworzył usta i rzekł:

— Czybyś pan nie połączył się z nami w sprawie...

Powstrzymałem oddech. Ale p. Ignacy, jak gdyby przerażony brzmieniem tych słów, które mu się z ust wydobyły, zerwał się i podał mi rękę:

— Ponieważ jestem pewien pańskiej zgody, więc zajdę do pana wieczorem i przeczytam coś, o czem pomówimy.

To rzekłszy, wyszedł. Osłupiałem. Z czego on wywnioskował moją zgodę? Co mi przeczytał? Do dyabła, wołałbym teraz, ażeby się to niebezpieczne przedsięwzięcie bezemnie obyło.

Oczekiwałem wieczorurozdrażniony. Narzeczcie usłyszałem dzwonek — wszedł p. Ignacy. Powitaliśmy się w poważnym milczeniu.

— Sprawa — rzekł, wyjąwszy i rozwijając arkusz papieru — którą panu przedstawić zamierzam, jest dziś może najważniejszą w życiu naszego narodu...

Poczułem gwałtowne bicie serca.

— Jeśli wszakże ma się powieść — mówił dalej — wymaga działania łącznego, tembardziej, że mamy do czynienia z przeciwnikiem groźnym.

Kiwnąłem głową.

— Jak pan zapewne domyśliłeś się — ciągnął dalej — idźcie nam o tę nieszczęsną gospodarke teatralną, w której dymisya pani Święckiej...

— Co takiego? — rzekłem wytrzeszcząwszy oczy.

— Upadek podkomitetu teatralnego...

Ale p. Ignacy nie mógł skończyć. Zrozumiałwszy bowiem cel spisku, wybuchnąłem tak gwałtownym śmiechem, że mój gość schował papier, wstał zmieszany a widząc, że się uspokoić nie mogę, wziął kapelusz i rzekł gniewnie:

— Pomówimy, jak pan będziesz w mniejszym humorze.

Na schodach jeszcze zapewne słyszał moje chichotanie się, któremu zawdzięczam jedną z weselszych chwil w życiu.

*Niedomyślny.*



najlepiej robi, gdy nie robi... sobie ze swojego mandatu.

P.

## PLAN UPAŃSTWOWIENIA dróg żelaznych w Niemczech.

### I.

Materyały. — Rok 1879 i przeszłość dróg żelaznych w Prusach. — Stan ich liczby w r. 1881. — Pruskie prawodawstwo kolejowe. — Sposoby przenoszenia dróg żel. do rąk rządu, przejawy ześrodkowania i upaństwowienie ich w innych państwach europejskich.

Upaństwowienie dróg żelaznych jest może najwyraźniej zarysowaną ilustracją państwowo-socjalistycznego systemu ks. Bismarka. Jest ono nadto projektem budzącym większe zajęcia ogółu, niż inne ekonomiczne pomysły Prus — niż np. sprawa celna, kasy pomocnicze dla robotników, ubezpieczenia, monopol tytoniowy.

Pozyskawszy szczęśliwie i zbadawszy dokładnie materyał urzędowy, odnoszący się do upaństwowienia kilku pruskich dróg żelaznych, wydobyłem z niego dla czytelników *Prawdy* pierwszy zarys wielkiego planu, który niewątpliwie, prędzej czy później, rozszerzy się po za granicę swej ojczyzny i obejmie społeczeństwa, dotąd zdaleka jedynie mu przypatrujące się. Materyał ów zawiera umowy rządu z towarzystwami, uzasadnienie projektu, przedstawione przez rząd parlamentowi, sprawozdania komisji, zapiski stenograficzne z rozpraw sejmowych, rozkazy cesarskie, jedyną w swoim rodzaju i rzadką, jako okaz bibliograficzny broszurę pana Rapmunda <sup>1)</sup>, wreszcie rozmaite dokumenty prywatne.

Mamy przed sobą parlament berliński z roku 1879/80, odbywający pierwszą sesję 14-go okresu prawodawczego. Rozprawy jego pouczają nas, że rząd zaopiekował się czterema kolejami, bynajmniej nie dla tego, iż są one w złym stanie i potrzebują pomocy, gdyż nawet niektórym akcyonaryuszom chce płacić za odstąpienie praw. Biorąc koleje od razu pod własny zarząd, jednocześnie obowiązuje się wydać właścicielom, zamiast dotychczasowych akcyj, obligi rządowe i zastrzega sobie możność rozwiązania po pewnym czasie towarzystw i nabycia dróg na własność. Rząd zwrócił na nie uwagę

z wytkniętym i świadomym celu planem. Wprowadza on stopniowo w czyn myśl upaństwowienia wszystkich, a brak mu właśnie tych linii, żeby zapełnić lukę od zachodu i jednocześnie związać własnymi pasami kółka wielkich dróg, takich jak: Wiedeń — Dreżno — Magdeburg — Hamburg, Berlin — Kolonia — Paryż, Dreżno — Magdeburg — Bremen i inne. Nie pierwszy to krok w tym kierunku, o dawniejszych warto wspomnieć osobno.

W historii niemieckich dróg żelaznych pamiętnym jest okres od 1847—1857 roku, kiedy energiczny minister von Heydt bawił się towarzystwami kolejowymi jak piłkami. Heydt podniósł sztandar upaństwowienia dróg żelaznych z energią, której mu dopiero Bismark godnie umiał pozazdrościć. W czasie jego działalności rozwój prywatnych towarzystw stał nieruchomie na zerze: z tablicy graficznej widzimy dobrze, jaki zastój panował w ówczesnym gospodarstwie kolejowym. Heydt objął w ręce rządu dwie znaczne grupy dróg: zachodnioreńską, i południowo-szląską. Te dwie grupy stały się zrębem, na którym stanął późniejszy gmach systemu państwowego. Prowiniecy nabyte w r. 1866 (Hannover, Hessen Kassel i Nassau) powiększyły liczbę rządowych dróg żelaznych drogą pokojową. Po roku 1871 przesilenie przemysłowe, spowodowane przez napływ do Niemiec miliardów francuskich, poderwało prywatne gospodarstwo kolejowe na korzyść rządowego. W r. 1873 wystąpił w parlamencie Laskier, domagając się wskrzeszenia programu Heydta, ale dopiero rok 1879 zapisał się w historii Niemiec nowym wskrzeszeniem idei Heydta i Laskiera, dzięki poparciu ks. Bismarka. Cele obrony krajowej i ograniczenie swobody współubiegania się, wysunięte przez niego na pierwszy plan działalności, przyprowadziły rząd do powyższej transakcji, do zebrania wspomnianego wyżej materyału i do obrad przedstawicieli społeczeństwa. Myśl rządu najtreściwiej da się tak wypowiedzieć: chciał on zrobić krok stanowiący na drodze ułatwienia ruchu wewnątrz kraju i obrony na zewnątrz, a ponieważ w swojej sieci miał już drogi prowadzące na wschód i na południe, zapragnął mieć drogę na zachód, do czego potrzebnem było nabycie czterech kolej, o których mówimy. Żeby dać pojęcie, do czego doszedł w tem przedsięwzięciu i czem się może poszczycić, przytaczam dane, wykazujące ilość dróg żelaznych w Prusach i w pozostałych Niemczech. Dane te zebrano we wrześniu bieżącego roku a odpowiadają trzem grupom, dzielącym koleje niemieckie:

1) Państwowych dróg pod zarz. państwa

w Prusach 11,616 km., w pozostałych Niemczech 10,738 km.

2) Prywatnych dróg pod zarz. państwa w Prusach 3,609 km., w pozostałych Niemczech 279 km.

3) Prywatnych dróg pod zarz. prywatnym w Prusach 5,393 km., w pozostałych Niemczech 2,450 km.

Razem w Prusach 24,618 km., w pozostałych Niemczech 13,467 km., co stanowi w całym cesarstwie 34,085 km. Z tej liczby państwo posiada na własność prawie  $\frac{2}{3}$  całej sieci krajowej, a pod swoim zarządem więcej niż  $\frac{1}{4}$ . Przy tej statystycznej wzmiance może zająć pytanie: jaki jest stosunek Cesarstwa Niemieckiego do innych wielkich państw europejskich i amerykańskich? Otóż według danych z r. 1877 Cesarstwo Niemieckie ustępowało tylko Stanom Zjednoczonym, posiadającym 128,187 km.; łącznie z Bawaryą posiadało wówczas 31,448 km., a Wielka Brytania zaledwie 27,494 km.

Z przytoczonych liczb widać, jak wielką przewagę w gospodarstwie kolejowym niemieckiem posiada żywioł państwowy. Ta przewaga uzasadnia twierdzenie, że idea upaństwowienia dróg ma już przeszłość historyczną i ekonomiczną teraźniejszość. Rząd posiada bogactwo, które stanowi jego siłę, dzisiaj już mówi, że wartość państwowej posiadłości kolejowej pokrywa cały dług państwowy. Uzbrojony takimi zadatkami, idzie śmiało naprzód.

Dla uzupełnienia rysunkunku, w którym występuje on pod hasłem tej idei, pozostaje mi dotknąć strony prawnej przedmiotu i przykładu zewnętrznego.

Kamieniem węgielnym prawodawstwa kolejowego pruskiego jest ustawa z dnia 3 listopada 1858 roku. Zapatruje się ona na koleje, jako na otwarte drogi, na których przewóz należy do przedsiębiorcy. Myśl upaństwowienia o tyle w niej jest przewidziana, o ile rząd zawarował sobie prawo nabycia na własność każdej drogi po upływie trzydziestu lat od chwili rozpoczęcia ruchu. Termin ten obowiązuje jednostajnie wszystkie koleje, a sposobu amortyzacji koncesji, t. j. przejścia kolei na własność rządu bezpłatnie po upływie pewnego terminu ustawa ta zupełnie nie zna. Interwencja rządu, w interesie dobrobytu społeczeństwa zastrzeżona, daleką jest przecie od tej pełnej i świadomej celu idei, która stanowi przedmiot zabiegów dzisiejszego systemu pruskiego. Rząd nie ominął jednakże sposobności ciągnąć korzyści z nowej gałęzi przemysłu. Oznaczył on podatek, który towarzystwo przy pewnych pomysłnych warunkach obowiązane mu było płacić, a to w celu wynagrodzenia

## ZUPA KARTOFLANA

opowiadanie

A. DAUDETA.

Wyobraźcie sobie izdebkę na piątem piętrze, t. j. jeden z tych strychów, z okienkiem u góry, któredy przeciekają strumienie deszczu; strych, który w mroku nocy, jak obecnie, zlewa się w jednolitą całość z dachem kamienicy. Jednakże izdeбка czysta i miluchna. Wszedłszy do niej, uczuwamy pewien rodzaj zadowolenia, tem więcej, że nadworze huczy wiatr i deszcz siecze po szybach okienka. Żdaje się, że to gniazdo, uwite na wysokim drzewie. Tylko że w tej chwili gniazdko próżne; gospodarza niema w domu. Ale wszystko zapowiada, że wkrótce powróci — wszystko gotowe na jego przybycie. Na rozrządzonych węglach gotuje się powoli coś wradunku. Zapewne zbyt długo stoi on już na ogniu, ale chociaż rozgrzany do czerwoności, od czasu do czasu objawia swoją nie-

cierpliwość i wówczas pokrywka podnosi się, drży pod naciskiem pary i po izdebce rozchodzi się apetyczny zapach.

Ach, jakże miła woń kartoflanej zupy!

Chwilami węgle żarzy się ogień i płomyk, wydobywający się na wierzch, ześlizga się aż na podłogę, rozjaśniając izdebkę, jakby pragnął obejrzeć, czy wszystko w porządku. Tak, wszystko w najzupełniejszym porządku, gospodarz może wrócić kiedy mu się podoba. Drelichowa firanka zapuszczona na okno. Tam znowu, przy kominku, ustawione wielkie, wygodne krzesło; z boku mały stolczyk, nakryty na jedną osobę; przy talerzu książka, nierozłączna towarzysząca i lampa oczekuje tylko na zapalnię.

Podobnie jak radelek oblepiony sadzą, nie błyszczy się, tak i naczynia stołowe, skutkiem wody utraciły żywe barwy, a brzegi kart książki mocno zniszczone, zapewne od częstego użycia. Na wszystkim widoczne ślady przywyknienia. Wszystko zapowiada, że mieszkaniowiec izdebki musi każdego dnia późno powracać do domu, a nadto lubi pewnie, przybywszy, znaleźć przygotowaną wieczerzę, która odgrzewając się, rozlewa w około ciepłą, woniącą parę!

Jakże cudowna woń kartoflanej zupy!

Biorąc na uwagę niezwykłą czystość owego mieszkanka, wyobrażam sobie urzędnika, jedną z tych istot, które do domowego życia wnoszą kancelaryjny porządek godzin i regularność pieczętek, wyciskanych na papierach urzędowych. Ponieważ wraca tak późno, więc zapewne odbywa nocny dyżur na poczcie lub w telegrafii. Widzę go stąd, za kratką, w rękawkach z lustryny i aksamitnej czapeczce, porządkującego i stemplującego listy lub nawijającego niebieskawe paski telegramów, przygotowującego korespondencję dla Paryża, który w tej chwili spi lub szaleje. Ale nie, to coś innego. Swobodny płomień domowego ogniska, odbiwszy się na ścianach izdebki, oświecił nagle wielkie fotografie w złotych ramach. I oto ze zmroku wystąpiły wyraźnie rysy cesarza Augusta, Mahometa i Brytannika, wieniec, helmy, tyary, birety. Wpatruję się i we wszystkich tych bohaterach rozpoznaję jedną i tę samą twarz, surową, uroczystą, twarz gospodarza miluchnego mieszkanka i szczęśliwego śmiertelnika, dla którego przygrzewa się smaczna, apetyczna potrawa. Jak ponętna jest woń kartoflanej zupy!

<sup>1)</sup> *Zehn Jahre Preussisch-deutschen Eisenbahnpolitik*. Lipsk. 1876, bezimiennie.



przedewszystkiem straty, jaką przez założenie prywatnych dróg żelaznych ponosił w dochodzie z poczt. Nie bardzo posilił się tą korzyścią, bo ona nigdy nie przyszła do skutku. Równie martwą literą ustawy 1838 roku był artykuł, na mocy którego każde towarzystwo kolejowe obowiązane było po pewnym przeciągu wyłącznie własnej eksploatacyi przypisać do niej innych przedsiębiorców, którzy zechcą wziąć w udział za opłatą odpowiedniego wynagrodzenia. W dalszym ciągu rozwoju dróg żelaznych nastąpiły przepisy prawodawcze, uzupełniające ustawę 1838 roku. Jednym z ważniejszych tej treści aktów były odnośne artykuły konstytucyi, ale wyraźnych, dotyczących upaństwowienia prawodawstwo to nie zna, pomimo że następne lata powołały do życia różne inne ustawy kolejowe.

W prawodawstwie wszystkich państw europejskich i amerykańskich przewidziane są sposoby przenoszenia dróg żelaznych z rąk prywatnych w posiadanie rządu. Wszystkie one należą do dwóch kategorii: jedne określają czas, po którym rząd może przedsiębiorstwo kupić, drugie — termin, po upływie którego staje się ono jego własnością bezpłatnie. W niektórych państwach oba te sposoby istnieją razem, w innych osobno. Przepisy te zawsze i wszędzie ułatwiały rządowi interwencję w sprawy kolejowe. Nie tylko w Niemczech, ale także w innych państwach znajdujemy również objawy pokrewne. Nagły zwrot w kierunku upaństwowienia, który się objawił w dzielnicach Niemiec (1878) był owocem postrachu, obudzonego w nich przez zamiary rządu pruskiego. Groźba opanowania dróg żelaznych przez Prusy, skłoniła rząd saski do zawarcia umów z krajowymi towarzystwami kolejowymi i objęcia ich przedsiębiorstw na własną rękę. W objawie tym maluje się jeden z licznych momentów walki, którą tak rozpaczliwie toczą odrębne dzielnice dawnego „imperium rzymskiego“ z dzisiejszym imperyalizmem pruskim. W Belgii budowę dróg żel. rozpoczął rząd; następnie zaczął dawać koncesye, ale w r. 1870 posiadał ledwie trzecią część wszystkich dróg krajowych, za to nie później jak w roku 1878 posiadał już  $\frac{2}{3}$ , a dawną jego rolę przejęły towarzystwa prywatne. We Francyi rok 1852 był dobą, w której dopełniono połączenia 27 towarzystw w sześć wielkich grup (*du Nord, de l'Est, Paris-Lyon-Méditerranée, d'Orléans, du Midi i de l'Ouest*), skutkiem złego stanu przedsiębiorstw. Dopiero po r. 1871 idea upaństwowienia występuje w pełni. Smutne doświadczenie było tą szkołą, w której rząd nauczył się myśleć o wła-

snej gospodarce. Projekt wniesiony do Izby 1878 r., przyjęty został w marcu, a ogłoszony w maju. Przeprowadzenie go zawdzięcza Francya Freycinetowi. Rzeczpospolita nabyła wtedy na własność 10 dróg żelaznych — *chemins de fer de l'état, sous l'autorité du ministre des travaux publics*. W następnym roku komisya, wyznaczona dla zbadania sprawy, oświadczyła się za dalszem rozwijaniem sieci rządowej, a głównie za kupnem grupy orleańskiej (4327 km.). We Włoszech między rokiem 1860 a 1870 wszystkie drogi żelazne prywatne i rządowe tworzyły cztery przedsiębiorstwa (*Alta Italia, Romane, Meridionali i Calabro Sicule*). W r. 1878 rząd zakończył operacyę upaństwowienia, owdładnięciem górno-włoskiej (*Alta Italia*). Szeroki projekt ministra Baccariniego, wniesiony w r. 1878, a zatwierdzony 1879, zamierzał; obok oryginalnego podziału, rozwinąć sieć dróg żelaznych kosztem rządu, ale pytanie: kto będzie gospodarował — pozostało otwartem. W Austrii, podobnie jak we Włoszech, działalność rządu posuwa się słabo. Po latach 1848 i 1867 rad nie rad musiał się zaopiekować kolejami, opuszczonemi przez zbankrutowane towarzystwa. Na rok 1868 przypada początek okresu ożywionej przedsiębiorczości. Rząd zaczął wtedy budować koleje, których wymagały widoki strategiczne, a których żadne towarzystwo prywatne budować nie chciało, jak: Tarnowsko-Leluchowska, Dalmacka. Dniestrzańska. Jednakże mimo to monarchia Austriacko-Węgierska posiadała w r. 1878 zaledwie czwartą część wszystkich krajowych dróg żelaznych.

(D. n.)

A. Pawłowski.

## PSYCHOLOGIA

w ekonomii politycznej.

### II.

(Teorya wartości.)

Według ulubionej przez niektórych ekonomistów hipotezy, wolne współzawodnictwo wytwórców powinno sprowadzić obniżenie cen, gdyby zniesiono nierówności położenia społecznych oraz wszystkie inne przywileje. Należałoby przypuszczać, że zniesienie takie osiągnie ostatecznej granicy i zbliży się mniej więcej do kosztu fabrykacyi. Gdyby wszakże tak było, to dlaczego nie możnaby przypuścić, że we wspólnym interesie wytwórcy porozumie-

ją się, dla powstrzymania się na pochyłości tej zgubnej obniżki? Powstałby tym sposobem pewien rodzaj monopolu zbiorowego, w którym już nie jeden producent, ale dziesięciu, stu lub tysiąc ustalałoby ceny produktów, odpowiednio do swej najwyższej korzyści, licząc się z siłą gustów publiczności i badając, do jakiego punktu doprowadzony wzrost zakupów, skutkiem obniżenia ceny, przyczyniłby się do powiększenia czystego zysku. Na tym właśnie punkcie za zgodą wzajemną zatrzymaliby się wszyscy.

Przypuśćmy teraz, że taka zgoda by nie istniała. To i w takim razie obniżka ceny nie doszłaby do kosztu produkcyi, ale do tego szczebla, w którym zysk wytwórcy byłby mniejszy a więc i mniej pożądany od zysków, jakie mógłby otrzymać z innego rodzaju fabrykacyi. Tutaj więc współubieganie się pragnień, będące podstawą ceny, odbyłoby się w duszy wytwórców a nie spożywców. Chociaż wogóle cena bywa ustalana przez fabrykanta, który jest zawsze mniej lub więcej monopolistą, częściej jednak, zmuszony wyprzedzić się w krótkim terminie i zlikwidować się, jest na łasce publiczności. Wtedy spożywcza określa cenę, ale czyni to zawsze stosując się do podanego powyżej sposobu — ofiaruje cenę najniższą, jaką kupiec przenosi nad niesprzedanie towaru, to jest taką, że gdyby była cokolwiek niższą, kupiec na nią by się nie zgodził.

To ustalenie ceny stałej, prawdziwej wartości rzeczy, wywołane przez wewnętrzną i niedostrzegalną przewagę ilości psychologicznych, tak dalece tkwi w naturze rzeczy, że nawet w najbardziej radykalnych zmianach społecznych, o jakich marzą socjaliści, konieczność takiego oznaczenia sama się narzuca. Mniemają na przykład, że komunizm mógłby znieść drogie ceny mieszkań. Gdyby jednak państwo było właścicielem wszystkich domów w Paryżu, pomimo największej chęci obniżenia ceny mieszkań i zrównania jej, musiałoby je podnieść, aby postawić tamę napływowi cudzoziemców, a nawet musiałoby postawić w nierównych warunkach samych paryżanów, którzyby w przeciwnym razie rzucili się wszyscy do najbardziej poszukiwanych dzielnic miasta. Gdy wielu ludzi pożąda rzeczy nielicznych, wtenczas przy darowiźnie, czy przy sprzedaży, nie można inną drogą dojść do zrównania ilości przedmiotów z ilością pragnących je nabyć, jak tylko za pomocą podniesienia ceny lub warunków darowizny i sprzedaży. Czyżby słuszniejszem było, gdyby wśród grona współubiegających się o jedno wspaniałe mieszkanie za taną cenę filantropijne państwo wyznaczało dowolnie protegowanego przez siebie lokatora? Tak więc zarówno dla bezinteresownego państwa, jak i dla chciwych posiadaczy, granicą konieczną podniesienia ceny albo warunków posiadania byłaby taka, po za którą brakowałoby kandydatów, co przyjęcie lub kupno uważaliby dla siebie za korzystne, po zrównoważeniu wszystkich rozmaitych pragnień oraz różnych przekonań o użyteczności odpowiednich przedmiotów.

Formy i natura tego wewnętrznego ciśnienia mogą się zmieniać i wydawać niejednokrotne rezultaty; ono jednak zawsze ustala cenę. U ludzi zasad, którzy rządzą się raczej przekonaniami niż namiętnościami, chęć kupienia wytwarza się w chwili, gdy sądzą, że powinni nabyć raczej dany przedmiot, aniżeli inne tej samej ceny. Często, podczas namysłu nad dokonaniem kupna, nabywca porównawczo ocenia i zestawia części swego przekonania i części pragnienia. Naprzykład, stojąc między dwoma interesami, z których jeden daje od 3 do 4% i jest bardzo pewny, a drugi daje od 7 do 8% i nie jest tak pewny, zapytuje, co mam wybrać? Chodzi tu o sprowadzenie dwu ilości różnorodnych do wspólnej mia-

Ale to nie urzędnik, służący na poczcie. To król, pan świata, jedno z tych uprzywilejowanych stworzeń, które co wieczór gromowym głosem wstrząsają mury Odeonu, a którym dość wyrzec: „Niech go straż otoczy“ — by spełniono natychmiast ich rozkazy. W obecnej chwili jest on właśnie w swoim dworze, z drugiej strony kanału. W sandałach na nogach, udrapowany w szeroką delię, chodzi pod cieniem portyków, deklamuje, ściga brew. Smutno grać w obec pustych krzeseł! A sala Odeonu tak pusta, tak chłodna w dniach przedstawień tragedyi! Nagle cesarz, na poły zamarty w purpurowej todze, uczuwa, że ciepły promień niespodzianie dotknął jego ciała. Wzrok jego zapala się, nozdrza rozdymają. Przypomnił sobie, że za powrotem do domu czeka go wygrzana izdebka, nakryty stoliki przygotowana lampa — spokój domowego ogniska tak drogi, tak cenny dla aktora, po wieczorze, wypełnionym namiętnościami a spędzonym na deskach teatralnych. W myśli odkrywa radelek, nalewa na talerz.

Jakże miła, cudowna, ponętna woń kartoflanej zupy!

Od tej chwili odradza się, ożywia. Nie

nie tamuje jego ruchów, ani blacha pancerna, ani marmurowe schody, ani ciężkie portyki. Zdaje się, że nabiera natchnienia. Wymowa porywająca, krok elastyczny, wspaniały. A jeżeli tam przygaśł ogień? Im bardziej zbliża się ku końcowi przedstawienia, tem energiczniejsze ruchy, tem namiętniejsza gra. O cudzie! Odeon ożywia się! Zwykli goście na parterze, pozbywszy się wrodzonego osłupienia, twierdzą, że ten Marencour rzeczywiście majestatyczny, szczególnie w ostatnich scenach. Tajemnica łatwa do odgadnięcia; w ostatnich aktach, w ostatecznym epizodzie rozwiązującym sztukę, w chwili stanowczej... gdy przebijają zdrayców, zenią księżniczki, twarz cesarza przybiera wyraz niewypowiedzianego, nieokreślonego szczęścia. Z pustym żołądkiem, znużony rozlicznymi perypetjami dramatu i rozwlekłymi monologami, wyobraża sobie, że jest w domu za małym stolikiem i uśmiech zadowolenia nie znika już z jego ust, jakby napawał się wonią rozkoszną apetycznej kartoflanej zupy!



ry, co byłoby niemożliwym, gdyby jedna z nich, to jest przekonanie (wiara), nie była granicą i początkiem drugiej, jej źródłem i spełnieniem.

Co się tyczy ceny, jej stałość nie jest jeszcze warunkiem słuszności, bez względu na to, czy ją ustanawia sprzedawca, czy robotnik, czy kupujący, lub właściciel. Czy jest ona słuszną wtedy, gdy ją określa żywa chęć wskutek swobodnego porozumienia się?

Warunki takiej swobody rzadko się mogą urzeczywistnić w zupełności, a przypuściwszy nawet, że tak jest, to skąd można wnosić, że zgoda dwu chęci posiada moc uczynić sprawiedliwą cenę, która bez tego byłaby niesprawiedliwą? Wtedy przed swobodnym porozumieniem się nikt nie byłby w prawie uważać jakiegobądź ceny za sprawiedliwą lub niesprawiedliwą, a poczucie moralności publicznej, które tak często protestuje przeciwko pewnym przyjętym wymaganiom, byłoby ocenione jako dziwactwo i kłamstwo.

Gdybyśmy usunęli pojęcie wolności i oparli się tylko na pojęciu równości dla ustalenia ceny sprawiedliwej, to i na tej drodze, według autora, błędzilibyśmy po omacku.

Nie można tu mówić, rozumie się, o cenie równej dla wszystkich, ale o proporcjonalnej do pracy, dochodu, lub potrzeb.

W oczach bezstronnego spostrzegacza cena jest wtedy słuszną, gdy obie strony znajdują zysk jednakowy, t. j. urzeczywistnienie pragnień równych chociaż różnych, albo równą pewność późniejszego zadowolenia równych pragnień, albo pewność nierówną zadowolenia pragnień nierównych, ale w taki sposób, że byłoby to kompensatą pomiędzy największą pewnością zadośćuczynienia pragnieniom najmniejszym a najmniejszą pewnością zadośćuczynienia najsilniejszym.

W kuźni np., która ma jednego właściciela i jednego robotnika, przypuszczalnie jednakowo zdolnych i gorliwych w pracy, świadek bezstronny uzna za słuszną zapłatę, daną przez właściciela robotnikowi, uwzględniając zysk pierwszego, gdy mniemana pewność robotnika o możliwości otrzymania sobie za tę cenę słabego stopnia dobrobytu wyda się równoważną z niepewną nadzieją dojścia właściciela do większej zamożności. Gdy jednak zyski właściciela są tak zapewnione, jak i zapłata jego robotnika, wydadzą się niesprawiedliwe, jeżeli będą od niej wyższe. Rozumie się, że inny stosunek zachodzi w wielkiej fabryce, gdzie sam przedsiębiorca tyle wpływa na produkcję, dzięki swej przezorności i wynalazczości, ile wszyscy razem połączeni robotnicy. Dlaczego? Ponieważ tutaj pojęcie słuszności wikła się, niezmieniając swej natury. Jeżeli słusznem się może wydawać to, że nabywca produktu albo pewnej usługi znajduje w kupnie korzyść równą tej, jaką wytwórca albo pracownik znajduje w sprzedaży, słusznem być powinno i to także, że zyski, wynikające ze sprzedaży, podzielią się między współ-wytwórców i współ-pracowników odpowiednio do ich udziału w pracy ogólnej.

Jeżeli idzie o rozdział zysków, dokonywa się on obecnie za pomocą dwu sposobów: jeden bezpośredni, używany wyłącznie aż do chwili obecnej, to jest, wynagradzalność (salarjat), jak nazywają komuniści, inny, propagowany przez nich, mianowicie właściwy udział w zyskach. Ponieważ każdy wytwórca płaci się w stosunku do usługi, jaką oddaje, a nie do pracy, którą zużył, zdaje się, że pracownik powinienby otrzymywać wynagrodzenie odpowiednie do usługi, którą oddał i którą sprzedaż uwydatni, a nie w stosunku do pracy, której przyszył rezultat, użyteczny albo nieużyteczny, jest jeszcze nie znany. Jednakże trzeba pamiętać o tem, że robotnik niema czasu czekać na sprzedaż swego

produktu i że udział w zyskach obowiązuje do udziału w stratach. Ponieważ robotnik wymaga pewności zapłaty, a nie tylko jej nadziei, musi zarazem przyjąć niewygody tej pewności, której potrzebuje i której korzyści odbiera. Możliwość zysków i strat jest zbytkiem, zostawionym dla tych, których potrzebuje, to jest pragnienia, niejako nieskończone, bezwzględnie są zadowolone. Pragnienia najmniejsze, względne mogą same przez się być przedmiotem półpewności, przekonania względnego i słabego. Pragnienia zupełne wymagają wiary zupełnej i jej zadowolenia bezpośredniego, — bliskiego. Oto, czemu konieczność wypłaty trwa obecnie i trwać będzie tak długo, dopóki większość robotników nie będzie miała funduszy skapitalizowanych w ilości dostatecznej, aby mogła oczekiwać na sprzedaż owoców swej pracy. Zresztą zapłata bezpośrednia i w ogólnej masie ustosunkowuje się lub dąży do ustosunkowania odpowiednio do zysków. W okolicach, gdzie są winnice, podnosiła się ona przed plagą filoksery, teraz zaś się obniża, chociaż praca robotników w winnicach jest równie uciążliwa. W tym razie, jak i wszędzie, robotnicy brali udział nie tylko w zyskach, ale i w stratach, i tak zawsze będzie z tem dwójakiem jednak zastrzeżeniem: a) że udział robotników w stratach nie nadwyreży pewnego *minimum* wynagrodzenia; b) że udział ich w korzyściach nie przyniesie uszczerbku przywilejowi przedsiębiorcy, który narażając się na większe niebezpieczeństwa i mając prawo sądzić, że jego praca jest bardziej produkcyjną aniżeli innych, powinien w korzyściach mieć udział wyjątkowy.

Bez pierwszego zastrzeżenia nikt nie chciałby być robotnikiem, bez drugiego — przedsiębiorcą. Kompensata pragnień przez wiarę, i *vice versa* wyjaśnia to bez trudności.

Tak więc, podług Tarde'a, da się określić różnica ceny koniecznej, przymusowej od ceny słusznej, pożądanej. Pierwsza, wyznaczona przez czysty oddzielony hypotetycznie od wszelkiego uczucia bezinteresowny egoizm nabywcy, robotnika lub właściciela, który może narzucić swe prawo, jest wynikiem ciężenia psychologicznego, w którym równoważą się części pragnienia i części wiary wytworzone przez jeden osobnik. Cena słuszną, wyznaczoną przez bezinteresowność lub przez fikcyjnego świadka, otrzymuje się przez sprowadzenie równowagi między częściami wiary i pragnień, należących do wielu osobistości odrębnych. Jestto rozwiązanie zagadnienia bardzo trudnego, ponieważ chodzi tu o sprawdzenie i zmierzenie uczuć albo grup, uczuć nie tylko różnych, ale doświadczanych przez różne osobistości, o przekroczenie jednocześnie podwójnej przepaści: różności osób i różności uczuć. Nic dziwnego, że pojęcie ceny słusznej, chociaż usilnie starano się ją osiągnąć, pozostało dotąd niejasnem. Byłoby to jednak dziwniejszem, gdyby pomimo tej niejasności nie odpowiadało ono niczemu rzeczywistemu. Jeżeli zaś się opiera na czemś trwałem, jeżeli sumienie całej ludzkości nie jest w tej mierze mylnem, jak twierdzi Tarde, stanowi to ważny argument na poparcie jego głównej idei. Podług niego, cały postęp ekonomiczny społeczeństw nieustannie potwierdza ten czysto psychologiczny pogląd. Ponieważ wielki przemysł powinien przewidzieć przyszłą spżywczosć, zamiast cierpliwie wyczekiwać na bezpośrednie zlecenia klientów, a zatem postęp przemysłu obowiązuje do śmiałości, do uważnego baczenia na najmniejszy stopień wiary w rozległość i natężenie przyszłych żądań spżywcy. Gdyby nowoczesny fabrykant wymagał pewności, zanim się rzuci w jakie przedsięwzięcie, prześcignąłby go bardzo łatwo współzawodnicy, taksamo jak uczonego lub filozofa, mającego też same wymagania. Potrzeba stawiać hypote-

zy w filozofii, robić wywody w nauce, a ryzykować w handlu.

Inne jeszcze podobieństwo wykazuje autor pomiędzy obecnym postępowaniem przemysłu a postępowaniem moralności i nauki współczesnej. Jak ten ostatni objawia się we wzroście ważności przywiązanej do półobowiązków, a postęp nauki w takimże wzroście metody indukcyjnej, podobnie postęp przemysłu nie ogranicza się na zaspokajaniu potrzeb ogólnych, uważanych zwykle za nieskończenie wielkie, ale pracuje także, aby odpowiedzieć żądaniom niepełnym, pragnieniom małym, zmiennym i falującym. Ponieważ takie pragnienia najtrudniej można przewidzieć, zatem postęp cywilizacji zmusza fabrykantów, aby się zadawali pewnem *minimum* przekonania o użyteczności artykułów, które powinno odpowiadać pewnemu *minimum* pragnień.

Autor twierdzi, że ważnym argumentem, popierającym te rozumowania jest wzrastające znaczenie monety papierowej, która całą swą wartość chwilową otrzymuje wskutek aktu wiary i przekonania.

Podług niego, niedalekim jest dzień, w którym papiery zerwą ostatnie węzły nominalnej zależności od drogiej metalów i wtedy pokaże się jasno, że ufność jest źródłem wartości.

## KILKA UWAG O SOMNAMBULIZMIE.

### I.

Charakter panującego dziś kierunku w nauce polega głównie na tem, że opierając się w badaniu na na faktach, których nam dostarczają obserwacya i doświadczenie, zachowuje on jaknajwiększą ostrożność w wyprowadzaniu wniosków, i chociaż ostateczny cel poznania widzi w uogólnianiu, w syntezie wiedzy, wszelkim hypotezom i teoriom przyznaje wartość tymczasową w oczekiwaniu, że przyszłe badania usprawiedliwią je lub obalą. Dzięki temu kierunkowi umysł ludzki zaczyna się otrząsać powoli z uprzedzeń i przesądów, otrzymanych w spadku po wiekach poprzednich, zaczyna trzeźwiej zapatrywać się na rzeczy tego świata i śmielej wkoło siebie się rozglądać. Wodzony dotąd na pasku powagi, próbuje stawiać kroki o własnych siłach i zuchwałą dłońią zrywa zasłonę z tajemnic, przed którymi dotąd wolno mu było zatrzymywać się w milczeniu z kornem nachyleniem głowy. Wszystko, co mu dotąd podawano za prawdę bezwzględną, w co wierzyć kazano, jak w dogmat, stojący po nad rozumem, podaje on ścisłemu rozbirowi, za jedyny probierz uważając doświadczenie, to tylko przyjmuje, co się nie sprzeciwia ustalonym zasadom nauki.

Ten kierunek współczesnej cywilizacji zawadził i o nas w dziejowym swym pochodzie. Jakoż zawdzięczamy mu już pewne korzyści, przedewszystkiem tę, że staliśmy się mniej łatwowiernymi i większą zwracamy uwagę na naturalny bieg rzeczy.

Jednakże nie mamy jeszcze z czego być tak bardzo dumni. Wprawdzie pozbyliśmy się grubych przesądów i uprzedzeń, krępujących swobodę myśli i uczucia; przestaliśmy hołdować metafizycznym wybijalosciom i szukamy dziś prawdy nie w deklamatorskiej frazeologii, obliczonej na wrażenie, ale w dowodach i w faktach doświadczenia; dla wszelkiego rodzaju hipotez i teorii, w których więcej czynną jest fantazyja, niż rozważa i wiedza, mamy dziś uśmiech politowania, chociażby skądinąd odznaczały się szczytnością pomysłów; — ale niechże się spotkamy oko w oko z czemś nadzwyczajnem, z czego nie możemy zdać



sobie sprawy, nie możemy wykryć przyczyny, a wnet budzą się w nas stare narowy i, niecierpliwi rozwiązania zagadki, rzucamy się w awanturnicze przypuszczenia snujemy teorie, które jednego tylko dowodzą: że zarówno w nauce, jak i w życiu kierujemy się bardziej temperamentem, niż zasadami. Że to, co powiadam, nie jest żadną przesadą, świadczą o tem najdosadniej wszystkie owedomysły, przypuszczenia i komentarze, do jakich powód dały najprzód przedstawienia somnambulistyczne p. Donato, a następnie doświadczenia tegoż rodzaju p. Ochorowicza.

Do takich domysłów i przypuszczeń zaliczam następujące twierdzenia:

1) Zjawiska somnambulizmu są objawem magnetyzmu zwierzęcego.

2) W somnambulizmie należy upatrywać działanie nowej jakiejś, nieznaney nam dotąd siły.

3) Jakkolwiek dotąd nie stwierdzono naukowo, ażeby osoba w stanie somnambulistycznym mogła *przenikać* myśli magnetyzera, jednakże zaprzeczać tego *a priori* nie można i potrzeba czekać, co dalsze doświadczenia o tem powiedzą.

Przed kilkudziesięciu laty, jakto powszechnie wiadomo, cieszyła się nadzwyczajnem powodzeniem praktyka wędrownych magnetyzerów, którzy za pieniądze wywoływali wobec zdumionego tłumu cudowne zjawiska jasnowidzenia. Wierzono wtedy, że cuda te dokonywają się pod wpływem nowej siły, a przynajmniej zostającej dotąd w ukryciu. Siła ta nazwana przez Mesmera *magnetyzmem zwierzęcym*, miała znajdować się w niektórych jednostkach w większym niż zwykle zasobie. Dzięki temu, mogły one pewne osoby wprowadzać w stan podobny do snu, podczas którego umysł ich wyzwalał się z ograniczeń zmysłowych i stawał się naraz świadomym wszystkiego, co się działo w czasie i przestrzeni. Ustaleniu się tej wiary sprzyjał dzielnie ówczesny stan oświaty, mającej główne swe ognisko w romantyzmie, przejętym nawskroś duchem mistycyzmu, oraz stanowisko, jakie zajmowały wówczas fizyka i biologia.

W fizyce panowało wtedy przekonanie, że ciepło, światło, elektryczność i magnetyzm są płynami nieważkimi, które, rozlane we wszechświecie, przenikają wszystkie ciała i mogą w nie wchodzić lub wychodzić z nich, spowodowując w ten sposób zmiany i stanowiąc podstawę zjawisk natury. Co się tyczy biologii, ta będąc wówczas w niemowlęctwie, zostawała pod czujną opieką bądź religijnych dogmatów, bądź doktryn, nacechowanych spirytualizmem albo mistycyzmem. O stosunku wzajemnym ciała i duszy wygłaszała ona twierdzenia, które były logicznymi wynikami metafizycznych pojęć, nie zaś wnioskami z doświadczenia. Tradycyjny dualizm panował w niej wszechwładnie.

Od tego atoli czasu zaszła ważna zmiana w naszych pojęciach i sposobach badania. Rozwój nauk przyrodniczych postąpił tak daleko, że musimy ich dane uważać dzisiaj jako wytyczne znaki, wskazujące, w jakim kierunku dążyć i do jakiego kresu dojść mamy w naszych badaniach. Metoda doświadczalna, używana dotąd wyłącznie w zakresie materialnego świata, przeniesioną została w dziedzinę zjawisk duchowych. W biologii, psychologii i socjologii miejsce metafizycznych pojęć zajęły fakta, których nam dostarcza obserwacja i doświadczenie, miejsce apriorystycznych wywodów — indukcyjne wnioski.

Przestała już dziś nauka zapatrywać się na siły fizyczne, jako na czynniki materialne, mające swój byt własny, odrębny od zjawisk, za pomocą których objawiają się; przestała je uważać za płyny nieważkie. Pojmuje ona je dzisiaj, jako oddienne formy ruchu zarówno ciała, jak i ich cząsteczek; we wszystkich zjawiskach dźwięku, ciepła, światła i elektryczności

stara się oddzielić to, co stanowi ich stronę przedmiotową, od tego, co zależnem jest od warunków zwierzęcej organizacyi. Biologia ze swej strony zerwała raz na zawsze z dogmatycznym dualizmem. Lubo nie zaprzecza dwustronności życia i ściśle odróżnia w niem sprawy cielesne od psychicznych, uważa je jednakże tylko za dwie strony jednej i niepodzielnej całości, jaką jest organizm zwierzęcy. Potwierdzenie swego zapytywania znajduje ona w faktach, wykazujących, że we wszystkich objawach życia, zarówno prawidłowych, jak chorobowych, zachodzi jaknajściślej odpowiadność między obu jego stronami, tak że nie ma ani jednego objawu umysłowego, który by mógł powstać niezależnie od warunków, jakie znajduje już dla siebie gotowe w cielesnej organizacyi, i któryby nie oddziałał na tę organizację, spowodowując w niej pewną zmianę fizjologiczną.

Ozy z temi zasadami, stanowiącemi podstawiny współczesnej wiedzy, dadzą się pogodzić owe trzy twierdzenia, o których powyżej nadmienilem? Czy nie zostają one w jaskrawej z niemi sprzeczności? Zastanówmy się nad tem. (D. c. n.)

## WOLNA WOLA i mechaniczne jej skutki.

### II.

Skoro tylko *wolność* wywiera swój wpływ na porządek zjawisk, wówczas droga, przebiegana przez ciało ruchome, musi się zmienić odrazu i gwałtownie.

Tylko mechanicznymi przyczynami można objaśnić tego rodzaju zmiany.

Wyrażając się naukowo, wyznać musimy, iż niepodobieństwem jest zgodzić się na to, aby siła, równie jak materyja, mogła być stworzoną. Istoty żyjące, podobnie jak martwe, nie są zdolne do stworzenia ruchu. Zmiany w ich położeniu są tylko rezultatem przemiany sił.

Jeszcze kilka objaśnień. Wiadomo, że położenie lub ruch środka ciężkości danego systematu nie zależy wcale od zmian, jakie w nim zająć mogą, wskutek działania sił wtym systemacie zawartych.

Jeśli pocisk działowy wybuchnie w powietrzu i rozruci na wszystkie strony małe odłamki, pomimo to wspólny środek ciężkości tych rozbiegających się w rozmaitych kierunkach odłamków będzie zawsze zajmował takie położenie, w jakimby się znajdował i w tym razie, gdyby nie wybuchnął i biegł jako jednolita kula.

Jeśli aeronauta wypadnie z łódki balonu, wtedy jego środek ciężkości posuwa się zawsze po linii prostej, pionowej — chociażby sam aeronauta w chwili spadania wykonywał najrozmaitsze ruchy całym swoim ciałem. Rozumie się, że w tym ostatnim razie nie należy przyjmować pod uwagę ani tarcia o powietrze, ani też poziomej składowej ruchu balonu.

Inny przykład. Jeśli wyobrazimy sobie, że jakieś zwierzę jest zawieszone naniec nieruchomej i niegiętkiej, wówczas środek jego ciężkości wcale nie zmieni swego położenia, bez względu na to, jakie ruchy samo zwierzę będzie wykonywało. Przypuśćmy teraz na chwilę, że w pobliżu jest zawieszony jakieś inne ciało. Zwierzę będzie mogło z jego obecności korzystać, albo przyciągając się do niego, albo też odpychając się od niego, i w tym razie jednak wspólny środek ciężkości całego systematu, (t. j. zwierzęcia i ciała) pozostanie nieruchomym, wszystkie zaś zmiany położenia jego oddzielnych części odbywać się będą około tego nieruchomego środka.

Ruchy więc samego zwierzęcia nie mogą żadną miarą wprowadzić nowych sił do systematu, którego częścią jest owo zwierzę.

Czy ono jest twórcą sił, wywołujących zmiany w położeniu oddzielnych części organizmu? Bynajmniej. Zużywa jedynie siły, złożone w niem i wzięte z zewnątrz wraz ze spożytymi pokarmami. Pokarmy znów roślinne, powstając pod wpływem promieni słońca, pochłonęły pewną ilość ciepła, zużytego na oddzielenie jednych pierwiastków od drugich; pierwiastki te, łącząc się ponownie w ciele zwierzęcia, dostarczają mu siły mięśniowej. W ten sposób ściśła analiza doprowadza nas do wniosku, iż ruchy zwierząt, bez względu na to, czy są dowolne, czy też nie, mają ostatecznie swe źródło w słońcu, owym olbrzymim zbiorniku siły. Ta ostatnia znówu polega jedynie na różnicy pomiędzy temperaturą tej gwiazdy i cieple, które ogrzewa. Różnica ta powoli maleje, wskutek czego nastąpić musi koniecznie chwila, w której słońce nie będzie już w stanie zasilać życia. Wtedy to, nawet istoty *wolne*, w przypuszczeniu, że są takie na świecie, stracą wszelką możność działania.

Jeżeli tak jest istotnie, jeżeli wolność (wolna wola) nie ma siły stwarzania, jeśli przytem nie jest ona czerzą nazwą błędnego i fałszywego pojęcia, to jakież być może pole jej działania, jakimi środkami posługuje się, by ujawnić na zewnątrz swą działalność?

Pozostaje jej jedynie czas, owo źródło tajemnicze wszystkiego, co było, co jest obecnie i co w przyszłości stać się musi.

Wolność (wolna wola) rozporządza czasem. To jej wystarcza, jak się przekonamy. Określmy więc istotę wolną (obdarzoną wolną wolą) jako mogącą zawiesić samodzielnie swą działalność, by ją wyrzucić następnie w chwili dowolnie wybranej. Istota więc wolna, według takiego określenia, jest zbiornikiem sił napiętych (energii położenia), które może wedle swego dowolnego wyboru wyswobadzać i zamieniać na siły żywe (energię widzialnego ruchu) w tym lub owym momencie czasu. Rzeczywistość ukazuje nam wokoło tego rodzaju wolność, zwykle ograniczoną, zawartą w pewnych przedziałach czasu — lecz to nas może nie zajmować obecnie.

Siłę napiętą (energię położenia) przedstawia nam staw wysoko położony i napełniony wodą. Stawidło zamyka go — woda więc pozostaje w spoczynku. Istota wolna, której zadaniem jest podniesienie stawidła, może tego nie uczynić w danej chwili. Na czem że więc polega owa możność powstrzymania się od tego zadania?

Stanowi to, jak rzekliśmy wyżej, zupełnie odrębną kwestję, której tu rozbiierać nie będziemy. Zważmy tylko, że wcale nie rozwiążemy zadania, przypuszczając, iż podniesienie stawidła jest działaniem pewnej osobnej siły, któraby zwalczała opór stawiany przez istotę wolną. Wtedy bowiem nie może być nawet mowy o konieczności podniesienia stawidła przez istotę wolną, gdyż ta konieczność nie istniałaby wcale. Musimy tu koniecznie dobrze wnikać w nasze porównanie i założenie: polega ono na tem mianowicie, że zatrzymanie się chwilowe z podniesieniem stawidła nie wymaga wcale żadnego wydatku siły. Do utrzymania upustu w zamknięciu nie potrzeba żadnej siły. Do otwarcia go potrzeba pewnej, zresztą tak małej, jak się podoba, lecz zawsze jednakiej — bez względu na to, czy ona wykona swe działanie wcześniej, czy później. W taki właśnie sposób należy pojmować istotę wolną. Może ona złożoną w niej siłę napiętą zużyć i zamienić na siłę żywą — dziś lub jutro, wcześniej lub później — nie spotrzebując na powstrzymanie jej działania żadnej energii. Wtedy to — i tu właśnie spoczywa główny punkt kwestyi — ogólna suma energii systematu nie zmienia się wcale, ponieważ siła owa (podnosząca stawidło)



wedle założenia może się objawić wcześniej lub później. Wyobraźmy sobie naczynie z prochem. Czy wybuch nastąpi dziś, czy jutro, skutek jego mechaniczny pozostanie jednakowym. Lecz dziś, w dniu pracy, na około prochu znajduje się mnóstwo ludzi, setki ich zostaną przez wybuch zabite; jutro, gdy będzie święto, eksplozja zburzy tylko mury pustej fabryki. To znaczy, że w tym odstępie czasu, przez który wybuch został wstrzymany, uległy zmianie wszystkie stosunki, które tylko jej ulegać mogą.

Porównanie Delboefa ze stawidłem pozwolimy sobie wyłożyć nieco obszerniej — jak mniemamy — nieco jaśniej, ażeby czytelnik mógł się w niem dokładnie zorientować. Wprowadzenie kwestyi wolności w dziedzinę stosunków życiowych i psychicznych na pole mechaniki jest pomysłem nader godnym uznania, lecz ostrożność przy stawianiu założeń musi być niezmiernie wielką. Najmniejszy bowiem błąd w założeniu ukaże się nam tysiącrotnie pomnożony w ostatecznym wyniku, chociażby nawet rozumowanie całe, na mylnem założeniu oparte, było przeprowadzone wedle najściślejszych prawideł wywodu matematycznego.

Rozpatrzmy sumiennie, co właściwie Delboef nazywa *istotą wolną*, i czy do tak pojmowanej istoty można stosować prawa mechaniki racjonalnej, tej korony, a zrazem i podstawy nauk doświadczalnych.

Istotę *wolną* (w swej woli) Delboef pojmuje jako siedlisko siły, która może wywrzeć działanie, lub też go nie wywrzeć (podnieść stawidło, albo go nie podnieść), chociaż jej nie powstrzymuje żadna przeszkoda. To, że istota wolna ma posiadać (według Delboefa) *siłę niewywierającą działania* (nie podnoszącą stawidła), choć nie stoi na przeszkodzie (do podniesienia stawidła), jest założeniem zupełnie błędnem i fałszywym, gdyż *siła niewywierająca działania* mechanika nie zna i znać nie może.

Sily nikt nie widział, widzimy tylko jej działania, i tam tylko, gdzie widzimy to działanie, dla ułatwienia rozumowań, wprowadzamy pojęcie *siły*. Jeśli więc jakakolwiek bądź istota żadnego działania nie wywiera, to mechanika nie może w niej upatrywać siły. Należy dobrze to zrozumieć, że w mechanice nie wyprowadzamy ruchu z sił, których nie znamy i nie widzimy, lecz idziemy drogą wprost odwrotną: t. j. z ruchu, który widzimy, wyprowadzamy dla bardzo ważnych przyczyn bardzo abstrakcyjne pojęcie siły. Mówić o takiej sile (w znaczeniu mechanicznym), która nie działa, jest to samo, co mówić o tem, czego nie ma; mechanika takich sił nie zna, a więc i jej prawa do takich sił nie mogą być stosowane. Magnes, któryby nie przyciągał żelaza i dla fizyka i dla mechanika i dla każdego logicznie myślącego człowieka przestałby być siedliskiem siły magnetycznej. Pojąć siły niedziałającej nie zdoła nikt, kto wie, w jaki sposób urobiło się naukowe jej pojęcie: wyprowadzono je ze skutków, idąc od konkretnego do abstrakcyjnego, a nie naodwrot, jak to czyni Delboef. Pomimo ten błąd w założeniu, pracę jego niemal w całości przytaczamy, gdyż stanowi ona dowód, że praw mechaniki z dowolnością wolnej woli pogodzić nie można, że przynajmniej nie godzi ich Delboef.

Powróćmy do niego.

Mamy więc przed sobą jasno postawione zadanie. Należy nam zbadać mechaniczne skutki opóźnienia w wykonaniu jakiegokolwiek bądź aktu dowolnego.

Jedno, mgnienie oka, jak mówią, wystarcza do objęcia wszechświata. Jakie wynikiłyby zmiany, gdybyśmy spojrzeli na świat o jedną sekundę później? Oto jest jedna z nieskończonej wielu postaci, jakie można nadać zajmującemu nas zadaniu.

Zadanie to na pierwszy rzut oka jest nierozwiązalnym, na szczęście jednak mo-

żemy je uprościć do ostatecznych niemal granic.

Czem jest wszechświat materyalny? Jest on zbiorem punktów będących w ruchu. Punkty te są połączone ze sobą wedle pewnych określonych stosunków i tworzą grupy, którym można przypisywać względną niezależność. Tak np. człowiek, odbywający podróż na bryczce, może zupełnie nie zwracać uwagi ani na ruch ziemi około osi, ani też na jej ruch około słońca.

Sprawdźmy więc wszechświat do najprostszej formy, w jakiej go pomysleć można. Przedstawmy sobie mianowicie, że stanowi on linię prostą, ograniczoną, poruszającą się ruchem jednostajnym w kierunku swej własnej długości. Wybraliśmy tu ruch jednostajny z tego powodu, iż stanowi on zasadniczą formę ruchu mechanicznego.

Przypuśćmy teraz, że zewnątrz tej linii znajduje się punkt obdarzony siłą wolną i że on może działać na ową linię w kierunku do niej prostym, przyczem, naturalnie, musi się koniecznie zmieniać położenie jego środka ciężkości.

Przypuśćmy dalej, że ów punkt *wolny* nie ma żadnego ruchu w kierunku linii. Przedewszystkiem musimy na niej wybrać jakikolwiek punkt, któryby nam wskazywał szybkość, z jaką się ona przenosi. Gdyby i uważany przez nas punkt wolny był również ożywiony ruchem, wtedy należałoby brać pod uwagę różnicę szybkości punktu i linii.

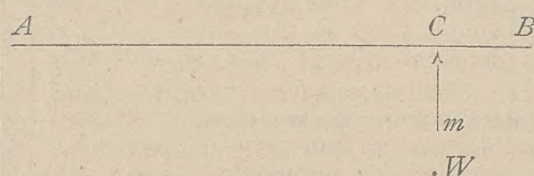
Możemy wyłączyć z pod rozpatrywania ten wypadek, w którym szybkość punktu równałaby się szybkości linii, co naprzykład działoby się wtedy, gdyby punkt *wolny* znajdował się na samej poruszającej się linii. Istotnie, dla takiego punktu czas nie istniałby wcale, gdyż wszystkie momenty byłyby zupełnie jednakowe. Do podobnegoż wniosku musielibyśmy przyjść, gdybyśmy naszej przypuszczalnej linii nadali długość nieskończenie wielką.

Po uczynieniu tych wstępnych określeń rozwiązanie zadania staje się nad wyraz łatwym.

Niech  $AB$  (fig. 1) będzie linią materyalną, poruszającą się od  $A$  do  $B$  w kierunku swej własnej długości, niech nadto punkt  $W$  będzie istotą wolną, posiadającą możność działania na prostą  $AB$  i odchylania jej. Wiemy, że środek ciężkości systematu nie może zmienić swego położenia, że zatem w chwili, w której prosta  $AB$  zmieni swe położenie i punkt  $W$  także zmienić je musi.

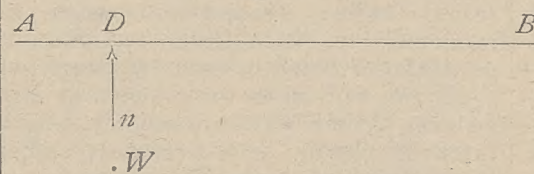
Zróbmy teraz dwa kolejnie po sobie następujące przypuszczenia:

fig. 1.



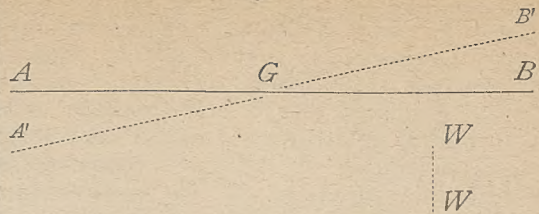
W pierwszym przypuszczeniu (fig. 1) wolny punkt  $W$  działa z siłą  $mC$  wówczas gdy naprzeciwko niego znajduje się punkt  $C$ .

fig. 2.



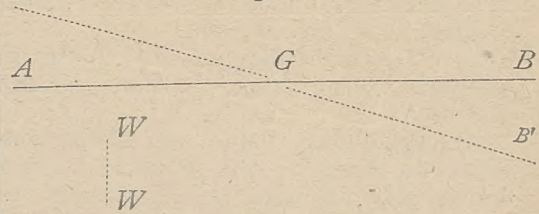
W drugim przypuszczeniu (fig. 2) punkt wolny  $W$  wtedy dopiero zaczyna działać, gdy już przed nim przebiegła część  $CD$  uważanej linii t. j. wówczas gdy naprzeciwko niego znajduje się punkt  $D$ . Jeszcze raz dodajmy tutaj, że w obu razach ogólna energia systematu pozostaje jednakową.

fig. 3.



Pomimo to jednak systemat przedstawiany na fig. 1. nie jest identyczny z systematem fig. 2. Ruchy obrotowe i postępowe obu systematów są zupełnie różne. O tem

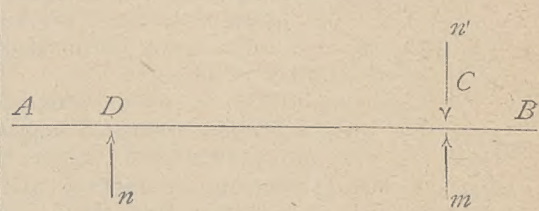
fig. 4.



może przekonać się każdy, znajdujący się zewnątrz systematu i mogący porównywać to, co się istotnie dzieje, z tem, co być mogło. Przypuśćmy, że w  $G$  jest środek ciężkości linii i że odległość  $WW'$  i kąt  $BGB$  są odpowiadającymi sobie zmianami położenia linii i punktu  $W$  w pewnym oznaczonym czasie. W takim razie otrzymamy dwie figury  $A, B, W$  (fig. 3 i 4).

Cóż więc trzeba dla przejścia od jednej do drugiej? Dla tem większej prostoty zapomnijmy na chwilę o ruchu punktu  $W$  i zważmy tylko ruchy samej linii  $AB$ . Otóż jest rzeczą jasną, że aby stan rzeczy, przedstawiony na fig. 3. zamienić na ten, jaki przedstawia fig. 4. lub odwrotnie, dość jest wprowadzić w systemat parę sił równoległych i znaków przeciwnych,  $n'C$  i  $nD$  (fig. 5).

fig. 5.



Sily  $n'C$  i  $mC$  wzajemnie się znoszą, pozostaje więc tylko siła  $nD$ , co nam daje systemat wyobrażony na fig. 2 i 4.

Tak więc, pomiędzy jednym i drugim systematem, to jest tym, jaki istnieje rzeczywiście, i tym, jaki mogłoby się urzeczywistnić jest różnica, dająca się ściśle wymierzyć za pomocą pary sił. Para ta nada-je ruch obrotowy w tej płaszczyźnie, w której działa.

Co się tyczy wielkości (momentu tej pary) to jest on równy iloczynowi z siły, jaką wywiera wolny punkt  $W$  przez ramię drąga  $CD$ . Wielkość tego ramienia  $CD$  zależy jedynie od przeciagu czasu, jaki upłynął pomiędzy przejściem z jednego położenia do drugiego. Moment więc tej pary jest proporcjonalny do czasu, przez który działałność punktu  $W$  była w zawieszeniu. Z tego ostatniego zdania nie będziemy na tem miejscu wyprowadzali wszystkich wynikających zeń wniosków.

Aby ów czas zawieszenia działałności istoty wolnej był czemśkolwiek, niezbędnym jest, aby linia  $AB$  poruszała się. Gdyby bowiem ona była w spoczynku, wówczas nieskończenie nawet długie zawieszenie działałności wolnego punktu  $W$  nie wprowadziłoby do systematu żadnej zmiany. Wszędzie gdzie tylko panuje spoczynek, niema wcale czasu. Czas jest tylko ruchem przedmiotów.

Scharakteryzowaliśmy już wolność jako potęgę, której skutków zgóry przewidzieć nie można, gdyż ruchy, wykonywane do-



wolnie, nie są bezpośredni następstwem już dokonanych. Teraz pojmujemy, dlaczego tak się dzieje, a nie inaczej. Wyobraźmy tylko sobie z jednej strony punkt, biegnący po linii prostej, na płaszczyźnie; jeśli przytem sama płaszczyzna będzie odbywała ruch około jakiegoś punktu, który się porusza niespodzianie, z szybkością zmienną — wówczas rzecz prosta, iż droga przez punkt taki przybyta będzie dziwną, dowolną i niedostępną do zbadania.

Taką też jest działalność istot żyjących. Wszędzie, gdzie spostrzegamy ruchy zmienne, przerywane i raptowne — odnajdujemy i życie i wolę wolną.

W gruncie rzeczy — tak kończy Delboeuf — skoro tylko wolność już wywarła swe działanie lub już je wstrzymała, wtedy porządek biegu zjawisk staje się nieodwołalnym, fatalnym. W przeszłości więc niema wcale miejsca dla swobody woli. Wolność rozporządza czasem, lecz tylko czasem obecnym, a więc pośrednio i przyszłością. Fataliści odejmują wolności jednemu zamaehem i teraźniejszość i przyszłość. Dla nich niema różnicy pomiędzy czasem, który jest za nami, i tym, na który oczekujemy. Przyszłość dla nich jest tem, co się stać musi i co nie może się nie stać. Dla zwolenników wolnej woli, przynajmniej część przyszłości jest możliwością; z pomiędzy zaś rozmaitych możliwości tylko pewna część zmienia się na rzeczywistość. Tak więc przeszłość, przynajmniej w części, mogła nie być taką, jak była. W takim razie i teraźniejszość mogłaby być inną, niż jest obecnie. Otóż ta część przeszłości, która mogła być inną, jest dziełem istot wolnych, które ją wywołały. Ten pogląd podzielają wszyscy, bez względu na swe przekonania filozoficzne. Nikt w ostatnich głębiach swej myśli nie wierzy w bezwarunkowe przeznaczenie. Nikt nie uważa się za narzędzie w ręku ślepego i nieubłaganego przeznaczenia. Pomimo różnorodności systematów, każdy z nas odważnie występuje do walki z przyrodą, aby ją podbić, zrobić z niej służebnicę, nagiąć do swych planów, skierować zawarte w niej siły ku naszym celom. W ten to sposób dążymy do podbicia świata, dorzucając swe wysiłki do zdobyczy przeszłych pokoleń.

Pomijając zupełnie końcowy, deklamacyjny ustęp artykułu Delboeufa, zaznaczamy tylko, że i jego teoria, jeśli wolności woli zupełnie nie wyklucza, to przynajmniej ogranicza ją do możliwych minimów. Nie mówiąc już o przytoczonych wyżej twierdzeniach Boussinesqa, które tylko w pewnych, nieskończenie krótkich momentach czasu pozwalają istotom być wolnymi, — wolnymi względnie (prosimy tu czytelnika o przypomnienie sobie przykładu z punktem spadającym po prostej na wierzchołek ostrokąta) — przyznać musimy, że teoria ta, choćby była usprawiedliwioną, daje istotom wolnym bardzo małe atrybucje, nieusprawiedliwiające słów końcowych. Istota wolna może wedle tej hipotezy jedynie tylko albo przyspieszyć, albo opóźnić dany akt, ale ani jego natężenia, ani też sposobu zmienić nie jest w stanie. Ze wprowadzenie takiego założenia do mechanicznego traktowania ruchów niema żadnej podstawy, to już, jak mniemamy — dowiedliśmy we wtrąconych wyżej uwagach.

I. I.

## MALARSTWO POLSKIE.

Czasem pohamowanie się na dobre wychodzi nawet gieniuszowi. Najlepszym tego dowodem nowy obraz Matejki *Chrzest Kazimierza Warneńczyka*, znajdujący się

obecnie na wystawie p. Krywulta. Artysta podjął tu temat czysto dekoracyjny, obrzędowy i przedstawił go z wielkim spokojem i powagą, odpowiednią uroczystości przyjęcia królewskiego potomka do owczarni kościoła. Mistrz krakowski tego rodzaju przedmioty oddawał niespokojnie i jaskrawo; tu gienialne rozmachanie pędzla ustąpiło skończoności i sile ujętej w karby. Przed drzwiami świątyni na krążanku uszykował się uroczysty orszak, witany przez Zbigniewa Oleśnickiego, który w imieniu papieża ma dokonać obrzędu. Królowie trzyma na rękach inny dostojnik kościoła, po za nim grupa panów i dygnitarzy, a na końcu królewska para z grotem niewiast dworskich. Orszak stoi tak, że zajmuje obraz wzdłuż całej długości, co artyście dało możność uwydatnienia charakterystyki każdej postaci. Szczególniej doskonałe są figury Zawiszy Czarnego, trzymającego sztandar, oraz samego Jagiełły, który odwraca się do małżonki z poważnym gestem. W szczegółach znać na każdym kroku rękę wielkiego mistrza, koloryt, jak zwykle u Matejki, świetny, chociaż tymrazem nie krzyczący, tło architektoniczne piękne, nawet skrawek nieba, ukazującego się z po za murów i dachów kościelnych, posiada rzadko spotykaną w innych obrazach mistrza właściwość tonu. Choć przedmiot obrazu nie imponuje, przedmioty wszakże jego zadawalniają tych nawet, którzy nie mogli się zgodzić z przesadą ostatniej maniery wielkiego artysty.

Lekceważenie natury bywa zwykle klęską dla talentu. Dość spojrzeć na obraz p. Pruszkowskiego *Wilkołak*, aby się przekonać, na jakie to manowce wiedzie czasami rozigrana wyobraźnia gardząca studjami. Widzimy tu spiącą na śniegu dziewczynę, do której przychodzi zdradliwy wilk, będący, według podania, zmienionym w to zwierzę człowiekiem. Dziewczyna ładna, spi sobie smacznie, a musi być niezmiernie lekka, skoro się unosi jakby w powietrzu. Na lewo, tuż nad nią, płacze się siatka gałęzi, opruszonych śniegiem, które wyglądają jakby na jednej płaszczyźnie chimerycznie poukładane walki waty. Głębia leśna także tonie w nieokreśloności a cały obraz jest majaczeniem kolorystów, bezskuteczną gonitwą za efektem oryginalności.

Żywe i słuszne zajęcie wśród koła miłośników malarstwa obudziły trzynowe obrazy p. Wilhelma Kotarbińskiego, będące prawdziwą okrasą Salonu Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych. Widać w nich energię rzeczywistego talentu, który wstąpił na właściwe sobie tory. Na niwie religijnego malarstwa Kotarbiński nie mógł znaleźć dla siebie właściwego zagona. Bo też w dzisiejszej epoce trudno zaprawdę o ascetyczny nastrój i „kruchcianą“ wiarę, będącą dźwignią dzieł sztuki religijnej. Zamiast malowania przedmiotów, których czas dzisiejszej epoki nie może odczuć szczerze i naiwnie, artysta odtworzył wrażenia świata, który go otacza, i dla tego obrazy jego zadrgały wdziękiem i życiem niepodrobionem. Prześliczną jest zwłaszcza *Gondola wenecka*, mknąca po lagunach wśród mgły i ciszy szarzejącego, pięknego grodu syreny. Na przedzie z owiniętej splotami kwiatów lampy miga płomień różowy, na środku w niedbalej pozie leżą dwie kobiety, słuchające śpiewu arfisty i jego towarzyszki; w drugim zaś końcu łodzi rysuje się pyszna ciemna sylweta wiosłującego gondoliera. Znać, że gondola mknie cicho a sennie, koło niej unoszą się nad wodą żwawe rybitwy, w dali za mgłą szarzeją gmachy miasta. Gdy spojrzymy na obraz przysłoniwszy nieco oczy, złudzenie jest tak wielkie, jakbyśmy naprawdę mieli przed sobą kołyszące się fale Adryatyku i miasto w mrocznej oddali. Perspektywa powietrzna, przejrzysty ton mgły, oddane są tutaj po mistrzowsku, cały zaś

obraz technie tym napół sennym, napół tajemniczym urokiem, jaki często roścza włoska przyroda. Artysta miał tu sposobność rozwinięcia swego szerokiego sposobu malowania, który nie pieści się ze szczegółami, ale osiąga efekt ogólnej prawdy danego momentu optycznego, w sposób ludzcy zarazem i poetyczny. Dwa inne obrazy p. Kotarbińskiego: *Libelle* i *Wieniec hermów*, należą do tej samej kategorii, co płótna Siemiradzkiego, odtwarzające pamiętne sceny z życia starożytnego świata. Na pierwszym widzimy dwie kobiety, stojące na kamiennej cembrzynie przy źródle. Jedna z nich rzuca na wodę listki róży, druga spogląda na unoszące się w powietrzu szklarki. Twarze kobiet piękne, ale nie mają dosyć życia i wdzięku w układzie; tło krajobrazowe traktowane niezmiernie oryginalnie pod względem wyboru motywu. Okryte pękami kwiatów, wyglądające z za muru gałęzie, dalej strzelająca w górę smukła topola na tle nieba oświeconego resztkami dziennego światła, na przedzie strumień świeży — wszystko to powabne, malowane poetycznie, śmiało, chociaż niektóre szczegóły obrazu, jak np. przestrzeń pomiędzy pierwszym planem a głębią na lewo, pod względem techniki są nieco wadliwe. Obraz, przedstawiający znany rzymski obyczaj wienienia wiosennego słupów hermesowych, ma dużo wdzięku, ale razi nadmiarem białego tonu oraz niejasnością głębi. Wszystkie te dzieła są płodem talentu niepospolitego i samoistnego. P. Kotarbiński jest prawdziwym kolorystą, posiada w malowaniu wielki powab i miękkość; niewyłączającą śmiałości techniki, a nadewszystko okazuje poetyczny i oryginalny pogląd na przyrodę, której uroki daleko lepiej czuje, aniżeli piękności człowieka.

Do względnie szczęśliwych debiutów należą też znajdujący się w Salonie p. Ungra obraz krakowskiego artysty Herncisza *Wyświecona*, przedstawiający wstrętą chwilę znanego z dziejów miast naszych barbarzyńskiego obrzędu. Bohaterka a raczej ofiara tej smutnej sceny stoi pół naga na ganku krakowskiego ratusza, owinięta białą płachtą, dokoła zebrany tłum spogląda na nią ciekawie, a chłopcy zapalają już żagwie słomiane, które mają przypiekać w sromotnym pochodzie winowajczynię, dotkniętą surowym wyrokiem magdeburzkiego prawa. Scena pojęta i skomponowana naturalnie, ale w układzie brak jej życia, brak ruchu dramatycznego, brak oddania całej gamy uczuć. Pod tym względem autor z powodu samego wyboru tematu naraził się na niebezpieczne porównanie z Rossowskim, który w swej *Skazanej* tak pięknie umiał połączyć wyrazistość sceny obyczajowej z przeprowadzeniem całej gamy psychologicznej uczuć i wrażeń, spływającej się w jedność ogólnego nastroju. Tutaj wszystkie postacie stoją, ale nie żyją, każda fizyognomia studywana z natury, ale tylko zewnętrznie, bo artysta nie umiał tchnąć w nią duszy, sama zaś *Wyświecona* tak obojętna jest wobec tego, co ją czeka, jakby ją np. proszono do tańca. Pod względem talentu obraz jest widocznym płodem matejkowskiego wpływu. Artysta jest w tej fazie, co wiele talentów, które muszą przeżyć epokę naśladownictwa, zanim samodzielnie rozkwitną. Czuć jednak talent, widzieć poczucie techniki, dążenie do wyrazistości i siły rysunku właściwie szkole krakowskiej, które w każdym razie jest lepszym, aniżeli zamiłowanie w chlapaninie i tuzinkowym naturalizmie.

M. K.



## LIBERUM VETO.

Wojski, Kusy i Sokół, oraz biedny szarak z wyskubana „odpowiedzialnością moralną.“ — Przejście do porządku dziennego. — Zakład Magdalenek i jego możliwa przemiana z wyłączeniem Tow. Dobroczynności. — Przyczepiona do niego kasa literacka i potrzeba połączenia jej z kasą Mianowskiego. — Zawstydylenie Warszawy przez p. Oberpolicmajstra. — Rejestr firmowy i jego wzbogacenie się na polu artystycznym. — Kłda i Sara Bernard. — Podarek dla Herodyady. — Sprostowanie.

Wtem Wojski krzyknął: „Wycha! Zając smyk z płotu Na łakę; charty za nim; i wnet bez obrotu Sokół i Kusy razem spadli na szaraka Ze dwóch stron w jednej chwili, jak dwa skrzydła ptaka, I zęby mu, jak szpony, zatopili w grzbiecie, ... już leży bez ducha, A charty mu sierść białą targają z pod brzucha.

Wojskim był p. Rosenblum, Sokółem *Kurier Warszawski*, Kusym *Kurier Codzienny*, szarakiem zaś biedne Towarzystwo Dobroczynności, któremu niemiłosiernie wyskubano „odpowiedzialność moralną.“ Właściwym winowajcą tych łowów jest nietylko p. Rosenblum, ile znany ze swego wtrącania się w nieswoje rzeczy p. Bolesław Prus, który naprzód wyrwał się z projektem kaszemieńskich, a teraz zawzięcie „targa sierść białą“ Tow. Dobroczynności. Gdyby nie ten psotnik, siedziałoby ono sobie w warzywie i ogryzła zielone gałązki jałmużny. Tymczasem dziś zabrnęło w kłopot, w którym mu każdy dla wyratowania się rzuca tylko... brzytwę. Nadewszystko co począć z nieszczęsną „odpowiedzialnością moralną“, która świętej mizeryi nieopatrznie z ust się wysliznęła? Tak to się zdaje, ale „odpowiedzialność“ wyprać się z grzechu niż z „odpowiedzialności“, która nie puszcza... Nawet dobrodusznego kronikarza *Kurjera Codziennego* nagrowała się z Towarzystwa, mówiąc, że o tem, ażeby kto nie chciał dać pożyczki, słyszał, ale o tem, ażeby kto nie chciał brać, gdy mu pożyczają, nie słyszał. Chciałbym ja serdecznie obronić to ciało od szpilujących go złośliwości i dla tego wnoszę do izby dziennikarskiej następującą rozsolucję: prasa uznając odwagę Towarzystwa w usunięciu się od „odpowiedzialności moralnej“ za pożyczki z zewnątrz dla kas rzemieślniczych zaciągnięte i rozweseliwszy się jego szczerością — przechodzi do porządku dziennego.

Ale, niestety, na tym porządku dziennym stoi druga podsargana sprawa. W poprzednim numerze *Prawdy* wspominałem o żałosnej odezwie hr. Al., wzywającej o liłości a raczej wzparcia dla „Magdalenek.“ Otóż kilka pism bardzo słusznie zapytało: a kto są owe „Magdalenki?“ jaki zakład? kto go prowadził? jak nim kierował? Ile razy dzienniki chciały zajrzeć do tej instytucji, zawsze im nos przycinano odpowiedzia, że nikt nie ma prawa wtrącać się do zakładu, który pani hrabina za własne pieniądze stworzyła i utrzymuje. Dopiero dziś, gdy owa pani hrabina już nie żyje a druga równie dobroczynna się nie znalazła, dalej w próśby do ogółu. Bezwątpienia kierownikom zakładu należy się ostra przytyka, nie wylącała to wszakże ani obowiązku, ani potrzeby zajęcia się jego losami. Owszem, skorzystajmy ze sposobności i weźmy w spadku po hrabiach instytucję, ale zróbmy ją prawdziwie społeczną. Nie jestem wcale czcicielem tego rodzaju klasztorów, które dają przytułek pokutnikom, ale utrwalają pamięć ich upadku i zmazują go klepaniem pacierzów. Gdyby powstał taki moralny przyrząd ratunkowy, któryby wydobywszy nieszczęśliwych z toni, nie pokazywał ich w osobnej klatce, lecz obmywszy z błota, oddał czyste społeczeństwu — czciłbym ten aparat bardzo. Zakład Magdalenek takim przyrządem nie

jest — jest to najzwyklejszy zakon, w którym rozpustnice przemieniają się na mniszki. Pomimo to wszakże, gdy dla pewnej liczby kobiet mamy do wyboru: dom hańby lub dom pokuty, musimy wybrać ostatni. Cała więc filozofia tkwi w tem zagadnieniu: ponieważ zakład Magdalenek jest złem koniecznym, co należy zrobić, ażeby on stał się dobrem możliwym? Że nie dość kłuć w oczy hrabiom wymówkami, że potrzeba zbadać ustawę zakonu, postarać się o zmianę jej, jeśli jest ułomna, powierzyć kierownictwo zakładu w ręce pewne i zapatrzeć go w środki — rzecz prosta. Tylko na liłość nie powierzajmy Magdalenek Towarzystwu Dobroczynności, bo znowu narazimy jego „odpowiedzialność moralną.“

Pragnąc z niego zdjąć wszelkie ciężary, poważam się do porządku dziennego wprowadzić jeszcze jeden wniosek. Przed kilku laty, jeśli się nie mylę, za sprawą i z kieszeni p. J. Blocha utworzono przy Towarzystwie Dobroczynności kasę literacką, która otoczywszy się wiankiem bardzo pokąznego komitetu, smacznie i głęboko zasnęła. Ponieważ świeżo powstała Kasa imienia Mianowskiego z osobną, od „moralnej odpowiedzialności“ wiadomego Towarzystwa niezależną ustawą, czyby więc nie można było przełać do niej funduszy tam zebranych i bezczynnie spoczywających? Członkowie komitetu, którzy nie mają sposobności spełniania swego urzędu, powinni raz pod „moralną odpowiedzialnością“ Tow. Dobr. zebrać się o tej sprawie pogadać, tembardziej, że podobno mają w ustawie artykuł, przewidujący rozstanie się z macierzą i poślubienie nowej, samodzielnej instytucji. Wielmożne *Kurjery* w miejscu, jako bliższe boku fundatorów i rzędów kasy literackiej, zechcą łaskawie ich uszczepnąć i obudzić.

P. Oberpolicmajster warszawski nietylko nas uszczepnął, ale natopił laku na nasze sumienie, ażeby je wyprowadzić z letargu. W ogłoszonej niedawno odezwie skarży się naczelnik policji, że chcąc odpowiedzieć potrzebom mieszkańców, objawił w swym organie gotowość przyjmowania wszelkich zażeń, którym przyrzekł natychmiastowe zadośćuczynienie. „Niestety — powiada — w ostatnich czasach odbierałem anonimy, pisane nietylko na urzędników policji, lecz nawet na osoby prywatne.“ Niedość tego: „skargi te po większej części“ okazują się albo zupełnie fałszywe, albo przesadzone do ostateczności. „Wstydź się Warszavo, albo raczej — wstydźcie się w niej ukryte gady, które szukacie zemsty na bliźnich w fałszywym oskarżaniu ich przed policją. Czy wiecie, że to jest paskudnie, że to jest niegodznie? A jakże musi was być wiele, skoro aż Oberpolicmajster musi wasze żądła publicznie deptać.

Na inne robaczki, niemniej szkodliwe postanowiono wreszcie przygotować według zagranicznej recepty proszek, znany pod nazwą „regesu firmowego.“ Jak wiadomo, nasz handel, dzięki poszanowaniu tradycji w tej dziedzinie, stanął na tak silnej podstawie, że najmniejsze trzęsienie finansowe wali w gruzy jego na pozór nie wzruszone gmachy. Upadłość stała się rzeczą tak zwykłą, jak dyskontowanie weksłów. Korzystając z braku jakiegokolwiek kontroli handlowej, drobne firmy uprawiają niwę bankructwa bez żadnej przeskody. Kandydat na oszusta zakłada sklep i przez pewien czas płaci akuratnie swe zobowiązania. Gdy już udaną sumiennością należycie rozszerzy sobie kredyt, zawiesza wypłaty a dla zabezpieczenia się przed komornikiem tylko... zmienia firmę na szyldzie sklepu. Nie *Josek*, ale *Mendel* — i już bezpieczny. Otóż poważni przedstawiciele handlu i przemysłu, chcąc położyć tamę tym doraźnym chrztom, ubezpieczającym oszustwa, wystąpili za pośrednictwem Komitetu Gieldowego z prośbą do Jenerała Gubernatora o wyjednanie „re-

gestru firmowego.“ Jest to spis firm, w którym ich nazwisk bez upoważnienia izb handlowych i kupieckich zmieniać nie wolno. Że ten brzydki wynalazek niepodobna się naszym bankrotom *in spe*, przekonywać nie potrzebuję; ale czy oni nie wynajdą jakiegoś wytrycha do otwierania nowego zamku, nie — ręczę. Wyobraźnia oszustów przerasta swem bogactwem najbujniejsze imaginacje powieściopisarzy i dramaturgów.

Do rejestru firmowego naszej sztuki malarskiej zapisało się znowu kilka imion. Na konkursie petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych wielkie medale złote otrzymali dwaj polacy: Stefan Bakalowiec i architekt Stefan Szyller. Mały medal złoty dostał się również polakowi M. Kotarbińskiemu. Brawo! To mi dowód wyższości naszej nad innymi narodami, ale nie śmieszne kwiatki nieuzasadnionej pychy, które sobie nieraz przypinamy. To дума, to nabytek więcej wart, niż cała fura codziennych tryumfów aktorskich z Sarą Bernard od święta.

Uroczystość tej liłościwej dla nas bogini będziemy obchodzili niedługo za 3,000 rs. od jednego pokazania się. Dla pokrycia tego holdu głupi lub bogaci czciciele będą musieli płacić 15 rs. za krzesło a 60 rs. za łożę. Chociaż nie zająłem wobec dyrekcji teatralnej żadnego „stanowiska“, wyznam jej otwarcie, że po wystawieniu *Eldy* i sprowadzeniu jej ojca, mogła byłaby wstrzymać się na jakiś czas od strzelania baków i mordowania swej biednej kasy. 3,000 rs. za jeden występ Sarze Bernard, którą miałem szczęście podziwiać w Paryżu za 5 franków i drugi raz tej przyjemności nie łaknę — to doprawdy przypomina wiersz o Heryodyadzie:

Sie tantzt mich rasend, ich werde toll,  
Sprich Weib, was ich dir schenken soll?  
Heda! Trabanten, Läufer!  
Man schlage ab das Haupt dem Täufer!

Kto tak śpiewał, nie wiem, ktoś jednak śpiewać musiał, skoro Sara Bernard u nas występować będzie. Że 3,000 rs. od jednego wieczoru równa się ucięciu głowy kasy — obliczono.

Przez szacunek dla prawdy winienem prefektowi gimnazjum bialskiego małe sprostowanie. Przed kilku miesiącami, na podstawie skargi kilku czytelników, zdziwiłem się na tem miejscu, że ks. Szyszkowski nie korzysta z prawa uczenia religii katolickiej po polsku. Obecnie dowiaduję się z wiarogodnego źródła, że prawo to nie obejmuje gimnazjum bialskiego, a ks. Szyszkowski robi to, co mu przepisano.

*Posel Prawdy.*

## W PERSPEKTYWIE.

Nowa szkoła kosztem włościan. — Nieobjaśniony udział dworu. — Zwycięstwo synów Marsa i Bachusa nad Wenerą i Kupidynem w Zofijówce. — Westchnienie do Trembeckiego, nieobowiązuje p. H. Swaryczewskiego. — Pomyłka współpracownika *Gaz. Lubelskiej*, który na wszystko zwraca uwagę. — Orzeczenie Zjazdu kaliskiego w sprawie języka polskiego.

Oprócz nieodłącznych od naszego życia rozbojów, pożarów i zaprowadzania straży ogniowych, mamy do zapisania kilka objawów, dodatnich lub ujemnych, dostrzeżonych przez naszą prowincjonalną *perspektywę*. Naprzód to, co nas zawsze najbardziej cieszy — oświata. Mieszkańcy Wrzeszczowa, Woli Wrzeszczowskiej i kilku okolicznych wsi postanowili jeszcze 2-go marca założyć wspólną szkołę w Wrzeszczowie. Delegacja włościańska udała się z prośbą do naczelnika dyrekcji naukowej w Radomiu, który słuszne to żądanie zatwierdził. W doniesieniu pism warszaw-



skich czytamy, że powyższa uchwała zapadła „w obecności“ dziedziców i dziedziczek folwarków, a nie dowiadujemy się wcale, czy szanowni dziedzice i dziedziczki przyłożyli się jakimś datkiem do założenia szkoły. Objasnienie to byłoby bardzo potrzebnem, co najmniej do zrozumienia, z jakiego powodu uczczono publicznem ogłoszeniem nazwiska osób, tyle tylko w tej sprawie zasłużonych, że „w ich obecności“ ona się spełniła. Przy każdej nowopowstałej szkole chwalebny i pożądanym jest udział nie tylko chat, ale i dworu.

Gdy jedni tworzą, drudzy, ażeby także nie próżnować, niszczą. Korespondenci petersburskich *Novosti* i warszawskiego *Echa* opowiedzieli nam ciekawą historię wandalizmu, któremu uległa założona przez Szezęnego Potockiego w Humaniu a przez Trembeckiego rozslawiona *Zofijówka*. Jest to, a raczej był to, jak wiadomo, piękny ogród, ozdobiony dziełami sztuki. Otóż synowie Marsa i Bachusa, nie pomnąc na związki dawnego Olimpu, postanowili zdruzgotać posagi Wenery i Kupidyna. Naturalnie w walce tej odnieśli po pijanemu zupełne zwycięstwo, które po trzeźwemu musieli opłacić karą 500 rs. za wynagrodzenie zrzadzonych szkód. Kara nie suwa, jeśli zważymy, że jeden posąg Wenery miał kosztować 4,000 czerw. zł. Czemuż Trembecki nie przeczuł tych pijackich figłów, byłby przynajmniej na rachunek odwagi wypłacił bohaterom kilka odpowiednich w swym poemacie wierszy. A on takie pochwały rymować umiał..

Daleko lepiej niż p. H. Swaryczewski swoją „Wojewodzinę“ w *Gaz. Lubelskiej*. Nietylko bowiem odpowiedzi rymuje z *zapowiedzi, rozważy z odważy, dziewicy z rodzice*, ale nawet *intencją z chęcią*. A jednakże te poetyczne niepowodzenia p. Swaryczewskiego są cnotą w porównaniu z grzechem, jaki *Gaz. Lubelska* nieopatrznie popełniła. Jeden z jej współpracowników, który „zwraca uwagę na wszystko, co go otacza“, nie zwrócił uwagi nato, że znaleziona przez niego i przedrukowana w *Gazecie* suplika frankistów do Augusta III, zawierała głoskę s, którą on, uwiedziony podobieństwem dawnej pisowni, wziął za f i ogłosił takie dziwolagi: „Tę u nóg Wafzey Królewskiej Meń Pana Nafzego Naymłościwzego pokorną Suplikę fklada.“ Chęć zachowania podobizny błędu nie tłumaczy, bo naprzód s nie posiadało, jak obecne f, wyraźnej kreski, a powtóre należałoby wszystkie inne głoski odpowiednio naśladować. Nikt też w ten sposób dawnych pism nie przedrukowywa i nie nasuwa zwykłym czytelnikom domysłu, że przed wiekiem polacy mówili: jeft, wfzyftkie, nafza, wafey i t. p.

Nie dziwiłbym się wcale, gdyby który z czytelników *Gaz. Lubelskiej*, chcąc się trzymać tradycji, nakropił tą pisownią skargę do sądu pokoju. Wtedy zgodzilibyśmy się na rozporządzenie Zjazdu kaliskiego, który w nieszczęsnej i tylokrrotnie rozjaśnianej kwestyi języka polskiego tak orzekł: „Przechodzące z apelacji sprawy przez Zjazd sędziów pokoju, nasunęły mu uwagę, że sądy gminne często przyjmują prośby i dowody pisane w polskim języku. Mając na względzie, że przy rozpatrywaniu prośb i dowodów, pisanych w polskim języku, Zjazd niemało napotyka trudności, dla uniknięcia takowych zgodnie ze swoim rozporządzeniem, niniejszem sądy gminne objaśnia, aby te przyjmując dowody, prośby, odezwy i skargi, pisane w polskim języku, żądały tłumaczeń dowodów; co się zaś tyczy prośb, odezwy i skarg, te mogą być podawane w języku polskim, z tem jednak zastrzeżeniem, aby w wypadku małego wykształcenia osób, podających takowe, sądy obowiązane były treść ich w oddzielnym protokole w języku rosyjskim napisać.“ Wtedy istotnie bez tłumaczeń obejść się byłoby nie podobieństwem.

— Asan.

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 18 listopada.

Gambetta musi zgryść twardszy orzech, niż pierwotnie przypuszczano. Jego „wielkie ministeryum“ dobyło się z łona lewicy nader powoli, a co ważniejsza ze znakami niedługiego życia. Jest to dość naturalnem. Lewica, mimo swej jedności, składa się z wielu różnorodnych żywiołów, z których każdy pragnąłby być szczerze obdarowany tekami przez nowego prezesa gabinetu. Nadto ów prezes zbyt wiele budzi zazdrostek, nienawiści i dąsów, zbyt oryginalny prawdopodobnie stawia program, ażeby jedni nie utrudniali mu zadania intrygą, a drudzy odmową. Stąd też słyszymy, że powołani przez niego mężowie stanu doświadczeni, jak: Say, Freycinet, Ferry i t. d. ofiarowanych stanowisk nie przyjęli, inni znowu pluja na wschodzące słońce w nadziei, że je zagasza. Wobec tego Gambecie pozostawała jedna tylko droga, której się chwycił: wybrał przeważnie ludzi zdolnych, ale *nowych* i młodych, z którymi śmiało na burzliwe a raczej sztucznie wzburzone morze śmiało się puścić. Za pewną przez dzienniki ogłoszona lista ministrów podaje: Gambetta (prezes) sprawy zagraniczne; Waldeck-Rousseau — wewnętrzne; Paweł Bert — oświata; Allain-Targé skarb; Campanon wojna; Gorgeard marynarka; Reynal budownictwo; Deves rolnictwo; Rouvier handel i kolonie; Casot sprawiedliwość; Cochery pocztę, Proust sztuki. W składzie więc tym znajduje się kilku ministrów z poprzedniego gabinetu, inni są ludzie świeżego werbunku. Jeden z nich, mianowicie Bert, jest czytelnikom *Prawdy* bardzo dobrze znany. Że nieprzychylnie rządowi gazety francuskie ciskają błotem na całe to grono, wcale nas dziwi; dla czego wszakże odpryski złości widzieliśmy na stronicach naszych dzienników, pojąć można tylko wtedy, jeżeli uprzytomnimy sobie sposób *robienia* w naszych pismach polityki. Tłumaczy się bez krytyki artykuły gazet zagranicznych — i pogląd redakcyi gotowy. Jeżeli źródło czyste, pogląd będzie czysty, jeżeli zmacone — zmacony. Nie pierwszy to i nie ostatni raz prasa nasza odbija ślepo echa obcych i niepodzielanych przez nią waśni. Sądząc chłodno, niezawodnem jest to, że jeśli do obecnego gabinetu francuskiego nie weszli ludzie, którzy się w nim znajdować powinni, winien temu nie Gambetta, który ich powołał, ale oni, bo wezwania tego nie przyjęli.

W Niemczech przygotowuje się jakaś straszna, dotąd w swym kierunku i sile nieznana burza. Lew pruski, wyruszony z warzińskiej kotliny złowrogim rezultatem wyborów, przybył do Berlina, porozumiał się z cesarzem i przygotowuje jakąś bombę, która ma pęknąć po utwarcu sejmu i zmiażdżyć wrogów kanclerza. Czy to będzie ustąpienie z posady kanclerskiej, czy związek z ultramontanami i zniesienie praw majowych — dotąd nie wiadomo. Ta ostatnia możliwość najwięcej budzi trwogi. Istotnie, spełnieniem tej groźby Bismark ukoronowałby swoje gospodarstwo wewnętrzne. Przeprowadzić prawa po to jedynie, ażeby zdręczywszy niemi naród przez lat kilka, znieść je dla dogodzenia swej osobistej zemście — doprawdy byłoby niegodnem rozumnego, a cóż dopiero genialnego męża stanu. Albo ustawy majowe są dobre, i w takim razie należy je utrzymać, albo złe — i wtedy należało ich nie tworzyć lub zaraz po doświadczeniu udusić. Nawet kosztem tej jednak ofiary dla środka (*centrum*) kanclerz niemiecki nie kupi sobie większości w sejmie, gdyż wszystkie grupy zachowawcze dadzą mu co najwyżej 170 członków — przy-

puściwszy, że wszystkim podobają się jego plany ekonomiczne.

Rząd serbski odważył się na niespodziewany krok: usunął metropolitę Michała, opierającego się jego woli. Gazety rosyjskie przyjęły stronę metropolity, który ma być obdarzony jakąś godnością w Rosyi.

## KRONIKA BIEŻĄCA.

**Sprawy społeczne.** W Warszawie z rozporządzenia generał-gubernatora utworzone zostały przy Ober-policmajstrze komisye, mające na celu ułożenie budżetu przytułków dla chorych i obłąkanych przy aresztach policyjnych.

— 34 magazynów wojskowych w Cesarstwie i Finlandyi zostało zniesionych przez ministra wojny na przedstawienie głównego intendenta armii. Na przyszłość wojska będą zaopatrywane bezpośrednio przez dostawców.

— Nietylko do Ameryki północnej, ale i do południowej przybywają corocznie liczne drużyny wychodźców europejskich. W r. 1880 do Rio Janeiro przybyło ich 22,859; a w tej liczbie włochów, 8606 portugalczyków, 2385 Niemców, 1254 hiszpanów, 384 Polaków, 294 Austriaków, 240 Francuzów. Największą część wychodźców osiada w prowincjach południowych, bardziej umiarkowanych niż północne, więcej zbliżone do równika.

— Naczelnny redaktor *Berliner Boersen Courier*, Frenkel, został skazany przez sąd kryminalny berliński na 1½ roku więzienia za obrazę kanclerza Bismarka, ministra Majbacha, oraz Blankenburga i Korna redaktora i wydawcy *Schlesische Ztg* z Wrocławia. Jednocześnie w obawie, by Frenkiel nie uciekł, wydano rozkaz natychmiastowego uwięzienia go. Frenkel apelował do wyższej instancji. Redakcyę tymczasowo objął M. A. Klausner.

— W Warszawie przy cyrkulach policyjnych otwarte zostały izby ogrzewane dla biednych; podczas mrozu od 5-ciu stopni wydawana w nich będzie ciepła herbata z chlebem.

**W Akademii Umiejętności w Krakowie** na posiedzeniu komisyi dla historii sztuki dnia 3-go b. m. przewodniczący profesor Łuszczkiewicz wykazał na licznych rysunkach pomiarowych, zdjętych tego roku w Wąchocku, system konstrukcyjny klastycznego kościoła, który uważa jako najwyższe rozwinięcie zasady kielkującej w innych naszych cysterskich budowlach XIII wieku. Liczne lokalności klasztorne romańskie znalazły się w tem opactwie; w szczególności oglądano rysunki refektarza, kapitułarza, ogrzewalni i dormitarza, i zastanawiano się nad ich piękną ornamentacyą w kamieniu kutą. Następnie sprawozdawca przeszedł do opisanja stanu opactwa w Jędrzejowie i zwrócił uwagę na niektóre zabytki zbadane przez niego w Gnieźnie i Poznaniu, a odnoszące się do malarstwa średniowiecznego i architektury. W dyskusyi zabierali głos pp. Paweł Popiel, prof. Odrzywołski i prof. Łepkowski.

**Szkoły.** Inauguracja roku szkolnego w lwowskiej szkole politechnicznej, odbyła się d. 14 b. m. w sposób uroczysty, w obecności namietnika Alfreda hr. Potockiego. Ustupujący rektor, p. Franke, zdał sprawę z ubiegłego roku.

Zaznaczywszy, że z rokiem tym skończyło się pierwsze dziesięciolecie wykładów polskich w politechnice, zebrał mównicą głównejsze fakty z naukowej działalności tej instytucyi. Na początek r. z. zapisał się do szkoły politechnicznej 216 słuchaczy, a między nimi 67 nowo imatrykulowanych. Na wydział inżynierii uczęszczało 96, na wydział budownictwa 30, na wydział budowy maszyn 54 a na wydział chemii technicznej 36. Z zapisanych było 198 krajowców i 18 obco-krajowców; pod względem narodowości: 208 Polaków, 7 Rusinów, 1 Niemiec. Z końcem półrocza zimowego ubyło 25 słuchaczy. Czesne w obu półroczach wynosiło 2,300 złr., a kolegium profesorów tak obszerny robiło użytek z prawa uwolnienia od czesnego, że niewątpliwie ani jeden słuchacz nie stracił możliwości uczęszczania na wykłady z powodu braku środków materialnych. Tegoroczne egzamina okazały znakomity postęp młodzieży, a wystawa prac była dowodem pomyślnego rozwoju samodzielności w opracowaniu danych tematów. Słuchacze wydziałów inżynierii i budownictwa odbyli wycieczkę w lipcu do Krakowa i je-



go okolic, a przedmiotem ich studyów były liczne gorotwory tych ukołic; słuchacze ostatniego roku inżynierii zwiedzili drogę żelazną z Tarnowa do Krakowa, liczne roboty wodne na Wiśle pod Krakowem, linię Kraków-Dziedzice i Bielsk-Żywiec, tudzież fabryki w Bielsku i Białej. Słuchacze budowy machin zwiedzili warsztaty i fabryki we Lwowie i okolicy, a we wrześniu odbyli wycieczkę do Pragi. Wydział Krajowy asygnował pewną kwotę na urządzenie tych wycieczek. Podniósłszy wzorowe zachowanie się młodzieży w ciągu roku szkolnego, przechodzi mówca do zmian w gronie nauczycielskiem. Profesorowie nadzwyczajni pp. Rychter i Juliusz Bykowski zostali mianowani ordynaryuszami; wykłady chemii objął po dr. Godlewskim dr. Wawnikiewicz. Z grona docentów wystąpili pp.: dr. S. Syński i B. Abakanowicz, w skutek czego poroczono wykłady zoologii dr. L. Petelenzowi, a wykłady mechaniki budowniczej p. M. Thulliemu. Pan K. Skibiński habilitował się jako docent prywatny do wykładów mechaniki budowniczej i statyki wykreślnej a p. H. Strzelecki przypuszczony został do wykładów leśnictwa. Asystentami zostali mianowani: pp. Karol Stelzer, Mrozowski, Bron. Pawlewski, Marceł Pilecki; z posady asystentów ustąpili pp.: Wł. Gozdowski, Fr. Skowron, M. Maślanka, K. Stelzer. Ministerstwo oświaty przyznało nadzwyczajną dotację 1,500 zlr. dla biblioteki, 1,000 zlr. jednorazowej subwencji na wyposażenie zbiorów katedry budownictwa i 3,400 zlr. na urządzenie obserwatorium astronomicznego. Kolegium profesorów zajmowało się sprawą zaprowadzenia wykładów rolnictwa i leśnictwa w politechnice a wnioski w tej sprawie przedstawiono rządowi. Zwracano także uwagę rządu na potrzebę zaprowadzenia wykładów ekonomii społecznej i uzupełnienia sił nauczycielskich na wydziale budowy machin przez ustanowienie posady adjunkta przy katedrze budowy machin.

Po tem sprawozdaniu, nowy rektor, p. Zacharyewicz, miał odczyt pod tytułem: *Kilka uwag o sztuce narodowej*.

**Nauki.** Przy ujściu rzeki Leny w tak zwanej Nowej Syberii założono stację meteorologiczną, na co ministerium spraw wewnętrznych wyznaczyło 14,000.

— Włodzimierz Spasowicz miał odczyt w petersburskiem Towarzystwie prawniczym „O nowem prawie prasowem we Francji.”

— Studenci Instytutu gospodarstwa wiejskiego i rolnictwa w Puławach ogłosili konkurs na napisanie dzieła dla ludu, którego treścią ma być „Uprawa roli i roślin popularnie wyłożona;” nagroda za najlepszą pracę wynosi rs. 150, przyczem wydana ona zostanie kosztem ogłaszających konkurs.

— Katedrę języka japońskiego, zaprowadzoną przy uniwersytecie petersburskim, objął Keneke-Ando japończyk, niegdyś sekretarz poselstwa japońskiego w Petersburgu.

**Przemysł handel i komunikacye.** Popłoch wywołany wczesnem nastaniem zimy w Rosyi jeszcze nie przeszedł; niezmierne masy zboża nagle w pośrodku drogi w lodach zawięzły. Za samym tylko Niżnim Nowohrodem zatrzymano 600,000 czwartki żyta, przeznaczonego za granicę. W danej chwili wywóz ogranicza się tylko wyłącznie do pszenicy, handel zaś innymi gatunkami zboża z zagranicą zeszedł do szczupłych rozmiarów. Nagły ten zwrot oddziaływał nie tylko na wywóz, ale i na stosunki i ceny wewnętrznej targu zbożowego.

— Na skutek starań obywateli z Pińczowskiego, Stopnickiego i Miechowskiego oraz przywódców kolei lwangrodzko-dąbrowskiej prowadzą się studia na gruncie w celu zmiany pierwotnie zmierzzonego kierunku tej kolei na Pińczów i Miechów, zamiast na Chęciny i Jędrzejów.

— W Zgierzu spaliła się fabryka kortów S. L. Marguliesa; straty wynosząrs. 100,000.

— Rybołówstwo na Wołdze ciągle się zmniejsza wskutek nadużyć przy połowie. Największy błąd leży w tem, że w przepisach rosyjskich o rybołówstwie nie ma prawideł co do wielkości sieci a właściciele większych rybołówstw pozwalają sobie bardzo często zagradzać całą szerokość odnogi, przez którą ryby płyną do Wołgi. W roku zeszłym kozacy astrachańscy złowili 27,080,000 sztuk, w roku zaś bieżącym zaledwie 9,870,000, a zatem o 17,210,000 mniej, pomimo znacznego ułatwienia handlu w skutek zniesienia akcyzy od soli.

— W Hadze odbyła się konferencya międzynarodowa w sprawie połowu ryb na morzu Północnem.

Rozprawy dotyczyły się głównie środków zapobiegania różnym nadużyciom.

— Pod Kronsztadem morze u brzegów pokryło się już cienką warstwą lodu.

— Żegluga parowa na Wiśle pod Puławami wstrzymana została z powodu kry, która się ukazała na Wiśle.

— P. Poletika, były redaktor *Mohwy*, staje na czele przedsiębiorstwa, mającego na celu podniesienie przemysłu i handlu naftowego w Rosyi.

— Inżynier Balukiewicz wynalazł nowy sposób sygnalizacji na kolejach. Próby, robione z przyrządem na kolei Petersbursko-Moskiewskiej, dały wyborne rezultaty.

**Sztuki piękne.** Przy petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych zakładają muzeum sztuki nowożytnej, złożone z oryginałów i kopij.

**Literatura polska.** Lenartowicz ukończył cztery nowe poematy: *Król Jan*, *Kościuszko w Szwajcaryi*, *Dąbowie* i *Piekiełni*. Pierwsze dwa drukują się we Lwowie.

— Bibliografia polska p. t. *Katalog nowych książek* Nr. 7 wyszła z druku i jest do odebrania w znaczniejszych księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

— *Przegląd techniczny* przeszedł na własność p. Władysława Kronenberga.

**Teatr.** Sołowiew, profesor Akademii Muzycznej, napisał operę komiczną *Chatka w Kotumie*, przeznaczoną dla wystawienia w petersburskim Teatrze Maryjskim.

— We Lwowie grają obecnie z powodzeniem nową sztukę A. Urbańskiego p. t. *Kątem*.

— W Warszawie w Teatrze Wielkim przedstawiono po raz pierwszy operę *Elda* p. Catalanigo, która jest dość słabym dramatem lirycznym wagnerowskiego pokroju.

**Nekrologia.** Augustyn Dubrunfant, znakomity chemik zmarł 7 października w 85 roku życia. Specyalnością uczonego było cukrownictwo, które uprawiał teoretycznie. Dubrunfant dokonał na tem polu wiele wynalazków, które dziś stosują się praktycznie we wszystkich doskonalszych cukrowniach. W ostatnim czasie starzec zaczął się oddawać badaniom nad długowiecznością. Zmarł nagle w skutek wybuchu gazu.

— W Lipsku zmarł 2 listopada Jan Napomucen Bobrowicz, pisarz i znany wydawca *Biblioteki pisarów polskich*, w wieku lat 76.

— Zamiatuin, jeden z najzdolniejszych i najzasłuższych pracowników rosyjskich, członek rady państwa, zmarł nagle, gdy wygłaszał mowę uroczystą na zebraniu wychowawców liceum prawnego. Przyjmował on czynny udział w przeprowadzeniu różnych reform sądowych.

— Na cmentarzu starozakonnych d. 6 listopada odsłonięto kamień grobowy ze składek publicznych Danielowi Neufeld, redaktorowi *Jutrzenki* i tłumaczowi Pięcioksięgu Mojżesza.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*P. Janowi M. w Gąbinie.* Numery *Prawdy* wysłane. Dodatku do kwartału II (*Kwestya polska*) w pojedynkowych arkuszach już nie mamy, tylko w całej książce, która kosztuje rs. 1. *Historya filozofii mat.* Langego rs. 6 kop. 75.

— *P. W. Głębockiemu w Berezowce.* Sprawdziliśmy. Powodem omyłki było to, że poczta odsyłała numery do stacyi Berezowka, która nie uznawała za stosowne uwiadomić nas, że tam adresata nie ma. Jest to jeden z niezliczonych rysów tej sławetnej instytucyi, która podobieństwa dla siebie napróżno by szukała w całej Europie. Wszystkie zatraczone numery posyłamy ponownie.

*P. Adamowi Zakrzewsk. w Petersburgu.* Wysłano ponownie. Wydawca Langego zawiadomi Pana co do tej książki osobno. Ile razy Panu przyjdzie chęć poskarżenia się na nas, niech Pan sobie przypomni, że wysyłamy pismo... pocztą.

*Dr. I. I. Czarn. w Moskwie.* Prenumerata pańska za kw. IV nieopłacona. Numery zaległe wysłaliśmy.

*P. Alfowi.* Już dziś zbyt późno.

*P. Adamowi Mahrburgowi.* O co Panu idzie, nie wiemy. Zamiast ścisłości naukowej, znajdujemy tylko naukowe kaprysenie.

*P. X. A. H. w P.* Ujednostajnienie zakończenia przymiottników męskich, bez względu na ich żywotność lub nieżywotność, uważamy za racjonalne i dla tego je zachowujemy. Jeżeli tylko bowiem rzeczownikowi nieżywotnemu nadajemy *rodzaj*, tem samem niejako uosabiamy go — a więc rozróżnianie w przymiottnikach jest zbyt bezcelne. Co do łamania wyrazów — trzeba się stosować do warunków technicznych. Na niektóre ze wskazanych przez Pana przedmiotów zwrócimy uwagę, nie chcemy jednak ani wołać na puszczy, ani dowodzić rzeczy dowiedzionych. Numerów nie możemy Panu posłać, ani listem odpowiedzieć, gdyż nie możemy odczytać pańskiego podpisu a w książce prenumeracyjnej odnaleźć podobnego nazwiska.

*P. St. Telszewskiemu.* Bobrzyńskiego lub Szujskiego. Pierwsza (w 2 tomach) właściwsza.

*P. I. K. P. w Tlewie.* Początek dobry — reszta słaba, a przynajmniej znacznie słabsza.

*P. Lebasowi.* Odpowiedź na pytania Pańskie przesłaby zakres naszych w tem miejscu objaśnień. Ogólnie tylko odpowiedzieć możemy, że człowiek dziedziczy, tj. przynosi z sobą na świat *możliwości* późniejszych stanów psychicznych. Możliwości te rodzą owoce odpowiednie warunkom życia i wychowania. Gruntownie i wyczerpująco objaśnią tego rodzaju zagadki Ribot w dziele *L'hérédité*.

*P. Kazimiersowi H. z K.* Wiersz nie dla nas.

*P. Smielkowowi w Petersburgu.* A któż to krwawe doniesienie przeczyta?

## OGŁOSZENIA.

Proszę W-go Aleksandra Piętkę

aby podał swój adres do wsi Kumejki przez Kijów-Koniów.

1—1

Julian Stejn.

KWESTYA POLSKA

W LITERATURZE ROSYJSKIEJ

M. Pypina

przekład z rosyjskiego.

DODATEK BEZPŁATNY DO

PRAWDY.

Abonenci nowi, którzy pragną go nabyć, płać rs. 1. Z powodu zastosowania nakładu tej książki do ilości egzemplarzy *Prawdy*, nieabonentom naszego pisma sprzedawać jej nie możemy.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdym opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratory „PRAWDY” otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Główne prądy literatury XIX w.

BRANDESA

Zeszyt pierwszy

nowoprzybyli abonenci nasi nabyć mogą za kop. 50.